ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy
»DZIENNIKA ZACHODNIEGO«

Nr 2

Katowice, 12 stycznia 1947 roku * Rok 2





Taternictwo zimowe

Jak w Alpach, podobnie i w Tatrach, człowiek opanowany wzniosłą namiętnością zdobywania szczytów dla rozkoszy pokonywania trudności, dla cudownych widoków górskiej przyrody, w dzień i w nocy, w złej i dobrej pogodzie, nie cofnął się przed srogimi zaporami, jakie jego penetracji w świat turni i krzesanic położyła zima. Już w pierwszych latach naszego stulecia, równocześnie z wspaniałym rozkwitem taternictwa letniego, widzimy dość licznych taterników, którzy ruszają zimą na podbój szczytów, w lecie już wielokrotnie zdobytych, albo nawet masowo zwiedzanych w popularnych wycieczkach.

Wśród pionierów zimowego taternictwa wymieńmy w pierwszym rzędzie **Mariana Zaruskiego,** późniejszego generała, **Barabasza, Zdyba, Kordysa, Klemensiewicza, Maślankę.** Wyszli oni na szereg szczytów i przeszli wiele przełęczy, nietrudnych w lecie, a nader trudnych i niebezpieczeństwami najeżonych w zimie. Po roku 1920 nowy ruch tatemicki skierował się zrazu ku zdobywaniu ścian i grani jeszcze latem nie zdobytych, a uważanych poprzednio za absolutnie niedostępne i „nie do wzięcia".

Wielkich „problemów" tatrzańskich zaczynało już jednak coraz bardziej brakować. Niewiele już pozostało wielkich ścian do zdobycia po raz pierwszy i trzeba było ograniczać się raczej do wyszukiwania mniej lub więcej ważnych i poważnych wariantów na drogach już odkrytych. W takich warunkach przed żądnymi ekspansji sportowo-zdobywczej taternikami, stanęło pełne ponęt zadanie zdobywania szczytów tatrzańskich i wszystkich przełęczy, jednych za drugimi, w zimie. Urok pierwszych wejść i przejść był pełny, bo różnica pomiędzy trudnościami i samą nawet konfiguracją terenu w lecie i w zimie jest tak wielka, warunki alpinistyczne są tak odmienne, że ma się do czynienia jakby z innymi całkiem górami, chociaż urok ich kształtów pozostaje niezmieniony i tylko w inne stroi się barwy.

Założona przez grupę taterników krakowskich **Sekcja Taternicka A. Z. S.** (J. A. Szczepański, J. Duerr, M. St. Korowicz, Marian i Adam Sokołowscy, Jan K. Dorawski i in.) postawiła sobie za cel, z impulsu swego pierwszego prezesa, **ś. p. dr. Mariana Sokołowskiego,** ruszyć na zdobycie tatrzańskich szczytów w zimie. Inauguracyjną wyprawą tej grupy było przejście przez **M. i A. Sokołowskich i Marka Korowicza,** w zimie 1924 r. w 24-godzinnej walce ze skałą, śniegiem, mrozem i nocą, grani świnickiej, tj. obu szczytów **Świnicy, Gąsienicowej Turni, Niebieskiej Turni i Zawratowej Turni** z zejściem z **Zawratu na Halę Gąsienicową.**

Za tą wyprawą poszły dziesiątki innych, a za środowiskiem krakowskim ruszyło się i warszawskie środowisko młodych taterników z **śp. Wiesławem Stanisławskim,** fenomenalnym wspinaczem, **Justynem Wojsznisem, Zbigniewem Korosadowiczem, Witoldem Paryskim** na czele. W **Sekcji Turystycznej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego,** której z biegiem czasu wszyscy AZS-owcy krakowscy, warszawscy i zakopiańscy stali się członkami, nadawał ton ideowy i najdzielniejszym przykładem osobistym świecił, niezapomniany śp. **dr. Mieczysław Świerz,** mający w dziejach taternictwa niemal równie piękną kartę, jak pionier polskiego alpinizmu, na **Górnym Śląsku** obecnie żyjący, inż. **Janusz Chmielowski.**

Obie Sekcje **AZS i Sekcja Turystyczna PTT** połączyły się już przed kilkunastu laty w **Klub Wysokogórski PTT,** będący obecnie naczelną organizacją alpinizmu polskiego i zrzeszający najwybitniejszych alpinistów i taterników polskich. Zasługi tego klubu w rozwoju taternictwa zimowego, w zwycięskiej konkurencji z Niemcami spiskimi, Węgrami, Czechami i Słowakami, **są ogromne i niezaprzeczalne.** Nabrane w zimowych Tatrach doświadczenia wykorzystał on ponadto w pięknych wyczynach wypraw klubowych w **Alpy,** a przede wszystkim **w Andy, Himalaje, na Kaukazie i Szpicbergu.** Nie możemy cytować tu licznych nazwisk najznakomitszych naszych zdobywców gór, odsyłamy zainteresowanych do roczników **„Taternika",** organu Klubu.

* * *

Nader liczne są niebezpieczeństwa, czyhające na turystę w Tatrach w zimie (jak i w innych górach typu alpejskiego w podobnych warunkach klimatycznych), których w lecie nie ma, albo występują w stopniu bez porównania łagodniejszym. Największe z nich są: **lawiny śnieżne, mgła, zadymka śnieżna, mróz,** a także, w pełnej zimie, potęgująca wszystkie trudności, **szybko zapadająca noc.**

Masy śniegu nagromadzają się na ścianach i stromych zboczach Tatr. Na wiosnę, gdy przenikające śnieg promienie słońca ogrzeją skały, pomiędzy nimi, a śniegiem „odparzonym" powstaje wąska, głęboka szczelina, i byle wiatr lub wstrząs sprawią wówczas, że potworne cielsko śnieżne odlepia się jak gdyby od skał i wali w dół z siłą niepohamowaną, wypełniając doliny i kotły górskie i niszcząc wszystko przed sobą, co mu opór stawi, lasy przede wszystkim. Są to t. zw. **lawiny wiosenne,** najgroźniejsze z wszystkich.

W czasie trwania całej zimy występują jednak i inne lawiny, zwane popularnie **deskami śnieżnymi** lub **tarczami śnieżnymi.** Deska — to masa śniegu świeżego, nie zrośniętego jeszcze z podłożem, który, podcięty np. śladem nart lub wzruszony butami człowieka, czasem nawet lekkimi stópkami kozicy, wali się w dół z siłą wprost proporcjonalną do ilości śniegu i nachylenia ściany względnie stoku. Wystarczyło np. tak względnie małe nachylenie, jak ściany **Małego Kościelca** od wschodu, aby lawina, w postaci olbrzymiej deski śnieżnej, zmiotła do **Doliny Suchej Wody** i kilku metrami zbitego śniegu na śmierć nakryła, w lutym 1909 r., genialnego muzyka **Mieczysława Karłowicza,** doskonałego taternika i narciarza. Rokrocznie pochłaniają lawiny liczne ofiary.

Tarcze śnieżne, to małe lawiny, powstałe ze śniegu, nagromadzo-



nego w większych zagłębieniach skał, często zmarzniętego na powierzchni, a wysypującego się jak gęsty puch, gdy przetnie go ślad nart, spadające kamienie itp. Lawiny nie zawsze porywają turystę na śmierć. Gdy człowiek nie straci przytomności, chociaż już lawiną porwany, może, ruchami pływaka, utrzymać się na jej powierzchni, o ile zdąży dość spiesznie pozbyć się nart z nóg. Gdy lawina rozpływa się na dole w szerokiej dolinie, porwany człowiek ma również szansę, o ile nie udusił się w tej gwałtownej podróży, wyjścia żywo z opresji. Ale istotnego cudu trzeba, aby uniknąć śmierci, gdy lawina spadnie do wąskiej doliny lub kotła górskiego.

Zadymka górska tym się różni od występującej w dolinach zamieci śnieżnej, że jest zawsze gwałtowniejsza, występuje często w towarzystwie silnego mrozu. Przenika ona człowieka do głębi, oślepia, wycieńcza, uniemożliwia poruszanie się w przepaścistym terenie górskim. Najgroźniejsza jest, gdy występuje w towarzystwie mgły, która i tak jest wystarczająco silnym przeciwnikiem turysty, gdy tworzy wraz ze śniegiem skały okrywającym, jeden nieprzerwany przestwór „rozpylonego mleka", ograniczający krąg widzenia do kilku metrów.

Mróz, to cichy, ale najbezwzględniejszy nieprzyjaciel alpinisty. Korzysta z każdego dłuższego postoju, z niespodziewanego i nieprzygotowanego biwaku, z ciemności, które nadejdą jakby przedwcześnie, aby kąsać dotkliwie, deprymować, często zagryzać na śmierć. Gdy towarzyszy mu wi-



cher, staje się on szczególnie kąśliwym, bo zmiata ze skał pył śnieżny i bije nim w twarz turysty, sprawiając ból dotkliwy i grożąc odmrożeniem. Wreszcie noc, biwak, do którego turysta odpowiednio się nie przygotował i racjonalnie nie wyekwipował, przynosi mu zwykle zagładę. Po wielkich płaszczyznach śnieżnych można, asekurując się liną umiejętnie, posuwać się i w nocy, ale nie jest to zwykle możliwym w skałach eksponowanych, gdy księżyc lub gwiazdy przynajmniej nie rozpraszają ciemności.

Wielkie są zatem trudności i dodatkowe w stosunku do letnich niebezpieczeństwa wypraw skalnych w Tatry zimowe. Ale doświadczeni alpiniści nie są bezbronni, przeciwnie, przygotowani są racjonalnie do przeprowadzenia swoich przedsięwzięć.

Wiedzą oni jak unikać terenów lawiniastych, lub jak się w nich zachować, aby lawiny nie strącić, z dala potrafią dostrzec niebezpieczeństwo lawin. Znają technikę pokonywania śnieżnych przestrzeni. Już dawniej, aby na otwartych terenach nie zapadać się w śniegu, używali t. zw. **karpli,** t. j. siatki, rozpiętej na obręczy, średnicy mniej więcej półmetrowej, w której środku umieszczali swą obutą stopę, przytwierdzoną do niej rzemieniem. Posuwanie się tą metodą było jednak dość męczącym, toteż **narty** wyparły karple niemal na całej linii. Podchodzi się na nich ku skałom i spod nich szybko w doliny powraca. Śp. Marian Sokołowski wypróbował i wśród naszych taterników zapropagował używanie krótkich, jednometrowych **„narciąt",** za to szerszych od normalnych, które można było przytwierdzać do plecaka i w skały ze sobą zabierać. Są to t. zw. **narty alpinistyczne, lub taternickie,** zwrotne i... **wywrotne.**

Na stromych stokach poruszać się trzeba rozważnie, używając t. zw. ruchomej asekuracji **liną,** która, lekko napięta, łączy dwóch(trzech ludzi, poruszających się równocześnie. O równoczesnym posuwaniu się nie ma oczywiście mowy, gdy ludzie, związani liną, znajdują się w przepaścistych skałach. Asekuracja na stromych zboczach i ścianach dostatecznie śniegiem pokrytych, odbywa się zwykle spoza **czekana,** wbitego głęboko w tęgi śnieg. Czekan, to jakby kilof stalowy, na długim, zwykle jesionowym, stylisku osadzony z silnym na końcu, stalowym, spiczastym okuciem.

Na wielkich stromiznach o twardym śniegu i na zalodzonych, szreniastych zboczach, ogromną usługę, nieraz konieczną, oddają t. zw. **raki.** Jest to przyrząd, którego istotną częścią są spojone ze sobą, stalowe kolce, od sześciu do dziesięciu (najlepiej osiem), przypinany pod podeszwą turystycznego buta. Oszczędzają raki mozolnego i wyczerpującego siły, bicia stopni czekanem, które i tak koniecznym jest nader często w skale, gdzie i raki nie pomogą.

Ściany i granie tatrzańskie pokryte są zwykle tak grubą warstwą śniegu, że nie ma mowy o dogrzebywaniu się do skalnych chwytów czy stopni, pod nim się znajdujących. Taternik pnie się wówczas z wysiłkiem, wbijając w śnieg głęboko, po łokcie niemal, swe ręce, odziane w rękawice wełniane i brezentowe, wkopuje głęboko obute w grube, górskie buty, stopy, a wznosi się w ten sposób wzwyż albo zstępuje na dół. Śnieg na stromych i gładkich ścianach odpada często pod wpływem owych **„chwytów przed ramiennych",** całym płatami, trzeba się więc wwiercać w inne warstwy, lub wbijać w innym miejscu, tak jak się postępuje z gwoździem, gdy niedobra ściana kruszy się i pęka, albo twardy kamień gwoździowi przeciwstawia.

Ściany i granie, w lecie łatwo dostępne, stają się w zimie, wobec zasypania przez śnieg stopni i chwytów skalnych, trudne i niebezpieczne. Często jest przeciwnie, gdy kruche, niemiłe, męczące latem żleby, pokryte są śniegiem i pochód po nich odbywa się wielokrotnie szybciej w zimie. Często też wielkie, nachylone ku przepaści ściany, pozbawione chwytów, pokryte mocną warstwą tęgiego śniegu, są o wiele łatwiejsze do przejścia jak w lecie. Na ogół jednak taternictwo zimowe wymaga od turysty o wiele więcej sił fizycznych, o wiele więcej doświadczenia i odporności psychicznej w tragicznych nader często sytuacjach terenowych i klimatycznych, jak taternictwo letnie.

Nic jednak odstraszyć nie zdołało śmiałych zapalonych zdobywców gór. Nawet noc w siarczystym mrozie, na wysokościach nieraz grubo ponad dwa tysiące metrów w Tatrach, przestała im być groźną w zimie. W ostatnich latach przed 1939 r. urządzali nasi taternicy wyprawy zimowe z jednym i dwu biwakami nocnymi w ścianach. Zaopatrzeni w ciepłą odzież, namioty, lub przynajmniej płótna namiotowe, w kaloryczne pożywienie, prymus do topienia śniegu, gotowania herbaty i przyrządzania strawy (najczęściej przez odgrzewanie konserw), przetrzymywali dzielnie ataki nocy, mrozu i śnieżnych zamieci, aby o świcie ruszyć dalej wzwyż po nowe zdobycze.

Przeżycia taternickie stają się w takich warunkach niezniszczalnymi skarbami ducha, a wspomnienia o nich krzepią w ciężkich chwilach dnia codziennego w dolinach. W wyższym jeszcze stopniu jak w lecie, alpinizm w zimie uprawiany jest próbą szczytowych możliwości indywidualnych człowieka w pokonywaniu sił przyrody, w pokonywaniu oportunistycznych skłonności miękkiej natury ludzkiej. Jest zarazem **sprawdzianem tężyzny sportowej społeczeństw,** w dzisiejszym, na wszystkich polach **współzawodnictwie sportowym narodów.**

ma-ka.



Franciszek Godula

Przyczynek do odrodzenia narodowego Górnego Śląska w latach 1845 do 1895

Pierwsza polska drukarnia na Górnym **Śląsku** powstała w roku 1845. **Jej założyciel, Tomasz Nowacki,** zaczął wykonywać w Mikołowie wyłącznie polskie druki i przez to niemało się zasłużył dla podtrzymania polskości w tamtejszej okolicy.

Również w roku 1845 (w czerwcu) były nauczyciel przy ewangelickiej szkole, a potem właściciel drukarni w Pszczynie, Krystian Schemmel, zaczął **redagować, drukować i wydawać pierwsze polskie czasopismo na Górnym Śląsku, mianowicie „Tygodnik Polski" poświęcony włościanom.** „Tygodnik Polski" przestał wychodzić pod koniec 1846 r.

W roku 1847 Teodor Heneczek, rodem z Częstochowy, założył w Piekarach dużą polską drukarnię. Drukarnia Heneczka wielkie miała powodzenie, ponieważ do Piekar co roku przybywały tłumy wiernych na liczne odpusty, i tu zaopatrywały się w książki. **Tak tedy już od roku 1847 istniał rodzaj „Wydawnictwa dzieł katolickich",** drukowanych z początku nakładem ks. Ficka, a po jego śmierci (1862) nakładem właściciela drukarni, Heneczka.

Usunięcie szwabachy na Śląsku Cieszyńskim

Na Śląsku Cieszyńskim wszystkie książki do nabożeństwa, aczkolwiek pisane w języku polskim, były drukowane gotyckimi czcionkami, t. zw. szwabachą, która wówczas panowała niepodzielnie w kościele, szkole i urzędach. **Dopiero ks. dr. Mateuszowi Opolskiemu, rodem z Wodzisławia (Górny Śląsk) udało się z pomocą ks. ks. Paciorka, Paducha, Piontka, Plazunia i Pawełka, usunąć, jeszcze przed urzędowym zaprowadzeniem języka polskiego w szkołach ludowych, (1848) szwabachę** zadomowioną od dziesiątek lat i utorować powrotną drogę językowi polskiemu w szkole, a później w kościele i urzędach.

Krótka wolność 1848 r.

W roku 1848 zawiązało się w Bytomiu **„Towarzystwo pracujących dla oświaty ludu górnośląskiego". Inicjatywę dał Józef Lompa,** a twórcami Towarzystwa byli: właściciel dóbr Kosicki, nauczyciele Lompa i Smołka oraz redaktor Łepkowski. Towarzystwo to, którego przewodniczącym był Kosicki, a zastępcą Smołka, **założyło czytelnie polskie w Bytomiu, Woźnikach, Lublińcu, Mysłowicach i Rybniku.** Zajmowało się także petycjami do sejmu i do króla, urządzało zgromadzenia itd. Członkowie Towarzystwa płacili czeski (10 fenigów) na miesiąc do kasy T-wa na zakup nowych książek, lub ich oprawę. Praca rozwijała się pięknie: Towarzystwo rosło ciągle, rosła i liczba książek — czytelnia bytomska np. miała w krótkim czasie 400 dzieł — lecz nie mniej rosły trudności, stawiane przez władze.

W latach 1848-49 założono na Górnym Śląsku, w różnych miejscowościach, 5 gazet polskich.

W czerwcu 1848 r. zaczął wychodzić u Heneczka w Piekarach „Dziennik Górnośląski", pierwsze szczerze i otwarcie występujące narodowe pismo na Śląsku. Dziennik początkowo ukazywał się dwa razy, później tylko raz na tydzień. Redaktorami odpowiedzialnymi byli: Mierowski, nauczyciele Smołka i Lompa i Józef Łepkowski.

W Oleśnie wychodził w latach 1848-49 „Telegraf Górnośląski", tygodnik, redagowany przez Józefa Lompę. Ks. Ficek od października 1848 r. wydawał w **Piekarach** gazetę p. t.: „Tygodnik Katolicki". Pisywali do niego prawie wyłącznie OO. Jezuici. Po dwu latach musiał ks. Ficek wydawania „Tygodnika" zaniechać, głównie z powodu obostrzenia przepisów prasowych.

Burmistrz pszczyński, Krystian Schemmel, wydaje w roku 1848 **w Pszczynie** „Tygodnik Górnośląski", który wychodził do roku 1852. Mniej więcej 10 lat trwała praca dziennikarska Schemmla.

Nadto zakładano czytelnie, towarzystwa, obrano i wysłano posłów polskich na pierwszy sejm i pracę ich popierano zbiorowymi petycjami w sprawach polskich (żądano od rządu przede wszystkim zupełnego równouprawnienia języka polskiego w szkołach, urzędach i sądach).

W roku 1849 nauczyciele **Smołka i Lompa** założyli w Bytomiu **„Towarzystwo nauczycieli Polaków",** które rozpoczęło pracę nader ruchliwą, pod kierownictwem swych założycieli.

Wolność roku 1848 nie trwała długo. W latach 1849 i 1850 wróciła reakcja i zdusiła życie polskie. Poznikały gazety, czytelnie i stowarzyszenia.

Wpływy Wielkopolskie na Górnym Śląsku

W latach 1850—1869, gdy na Śląsku żadna gazeta polska nie wychodziła, **wysłańcy z księstwa Poznańskiego rozpoczęli tu agitację za pismami poznańskimi i zachęcali Górnoślązaków do ściślejszej łączności z księstwem.** Kuria wrocławska uważała te dążności za niebezpieczne i cyrkularzem osobnym (z lat 1860-63) przestrzegała duchowieństwo, a przez nie i wiernych przed takimi knowaniami.

„Przyjaciel Ludu", wychodzący w Chełmie na Pomorzu, pod redakcją Ignacego Danielewskiego, miał na Górnym Śląsku w r. 1867 podobno 249 prenumeratów. **„Przyjaciel Ludu" starał się np. wskazać na konieczność wystawiania podczas wyborów własnych kandydatów, mówiąc, że jest to obowiązkiem narodowym.** Na próbę zgłoszono wówczas kandydaturę Danielewskiego, która wprawdzie przepadła, przekonano się jednak, że tam, gdzie „Przyjaciel" miał swoich prenumeratorów, oddano głosy na polskiego kandydata.

Założenie „Katolika"

Od roku 1868 Chociszewski zaczął wydawać w Chełmnie na Pomorzu pismo „Katolik". Z początkiem tegoż samego roku zaczął w Piekarach wychodzić tygodnik katolicki **„Zwiastun Górnośląski",** pismo poważne, szczerze katolickie, z licznymi artykułami i wiadomościami religijnymi, zajmujące się także polityką, sprawami kulturalnymi, gospodarczymi itp. „Zwiastun" wychodził przez 5 lat z wielkim pożytkiem dla ludności.

Od 1 kwietnia 1869 r. **Karol Miarka** wydaje w Królewskiej Hucie, przeniesionego z Chełmna „Katolika", który w połowie 1869 r. przemienił się w gazetę polityczną. **Odtąd już „Katolik" cieszy się na Górnym Śląsku największą popularnością i poczytnością.** Wydawany naprzód w Królewskiej Hucie, potem w Mikołowie, na Rozbarku, a nareszcie w Bytomiu, i redagowany przez mężów znanych i znakomitych, jak wymienionego już Miarkę, ks. Adolfa Hytrka, ks. Stanisława Radziejewskiego i Adama Napieralskiego, ma piękną kartę zasług.

Rozbudzanie ducha polskiego

W roku 1870, w czasie Zielonych Świątek, urządził Karol Miarka wycieczkę do Krakowa, wzywając poprzednio kilkakrotnie w „Katoliku", aby się do niej jak najwięcej ochotników z całego Górnego Śląska przyłączyło. Program wycieczki był bardzo obfity: zwiedzono ważniejsze kościoły i pamiątki Krakowa, dalej Bielany i kopalnię soli w Wieliczce. **Była to pierwsza zbiorowa wycieczka z Górnego Śląska do Krakowa, którą później często powtarzano. Wielkie te i liczne wycieczki przyczyniły się niemało do rozbudzenia i utwierdzenia ducha polskiego.**

W roku 1870 rozpisano nowe wybory do sejmu. Redaktor Miarka przed wyborami zaczął żywo budzić i przygotowywać ludność. Pisał wiele o wyborach w „Katoliku", jeździł, mówił i poruszał wszystko możliwe, aby wytknięty sobie cel osiągnąć. **Wynik tej pracy był ten, że obrano ośmiu czy nawet dziewięciu posłów takich, którzy dawali rękojmię, że sprawiedliwie będą bronić interesów ludności polskiej.** Liberałowie, rządowcy itp. poszli w cień na ubocze. Przez te wybory Miarka z „Katolikiem" zdobył sobie wielką powagę i znaczenie. **Wśród ludności polskiej rosła otucha i wiara w siebie, w swoją siłę.**

Po wojnie niemiecko-francuskiej Bismarck rozpętał walkę wyznaniową w Prusach, popierany i podżegany przez wojujący od lat liberalizm, który teraz po wojnach zwycięskich, bardzo zhardział. Bismarck pragnął całe rządy kościelne i niemal całe życie religijne w kraju podporządkować pod dozór i władzę absolutną państwa. Szczególnie kościół katolicki miał zostać skrępowany i swoich praw i swobód pozbawiony. Pierwszy krok w tym kierunku uczyniono już w roku 1871, przez wydanie paragrafu kagańcowego dla duchowieństwa.

Wybory do pierwszego parlamentu niemieckiego

Wybory do pierwszego parlamentu Rzeszy niemieckiej wyznaczono na miesiąc marzec 1871 r. Były one równe, tajne i bezpośrednie, a więc łatwiejsze niż wybory do sejmu pruskiego. Miarka znowu pisał, objaśniał, nawoływał i jeździł. **Prawie we wszystkich okręgach obrano kandydatów, popieranych przez „Katolika".**

Gdy Niemcy-katolicy zawiązali w roku 1870 stronnictwo „Centrum", mające bronić interesów kościoła i **potrzebowali poparcia polskich głosów wyborczych na Śląsku, wtedy zwrócili się o pomoc do duchowieństwa i ludu śląskiego.** Karol Miarka uznał „Centrum" za partię, mogącą bronić praw językowych polskich, toteż użył całego wpływu „Katolika" na masy przy wyborach.

Nacisk germanizacji

W październiku 1872 r. zniesiono naukę języka polskiego w seminariach i szkołach ludowych. W tym samym miesiącu wyszło rozporządzenie regencji opolskiej, że szkoły, w których na 100 dzieci jest choćby 25 Niemców, uważane są za niemieckie i ma być w nich zaprowadzone nauczanie wyłącznie w języku niemieckim.

Walkę rządu pruskiego z kościołem katolickim lud polski na Śląsku odczuł jako zamach na język polski w szkole i kościele. **Z chwilą, gdy w roku 1872 odebrano duchowieństwu nadzór nad szkołami, a zaprowadzono stanowisko inspektorów świeckich, skończył się okres szkoły polskiej, zaprowadzonej przez ks. Bogedaina.**

W celach germanizacyjnych wyrugował rząd pruski już w roku 1876 zupełnie język polski z sądownictwa i z całej administracji, tak państwowej jak samorządowej; zastosowano ten sam rygor germanizacyjny także w dwóch dalszych dziedzinach, t. j. w sądach rozjemczych i w ruchu pocztowym.

Od roku 1876 walka zaczęła słabnąć, aż nareszcie Bismarck złagodził najostrzejsze przepisy ustaw antykościelnych.

Pierwsze próby poruszenia ludu przeciwko partii centrowej na Górnym Śląsku robił w roku 1881 Juliusz Ligoń z ks. Przyniczyńskim, wydawcą „Gazety Górnośląskiej", domagając się już wtedy osobnego polskiego komitetu wyborczego.

Z początkiem roku 1883 walka była faktycznie zakończona, chociaż formalna likwidacja ustaw antykatolickich nastąpiła jeszcze trochę później (ustawy kościelne z lat 1883—1891).

Era projektów antypolskich

W roku 1884 rozpoczyna się nowa era najróżnorodniejszych projektów antypolskich. Myślano o ograniczeniu prawa gromadzenia się Polaków, debatowano nad zniesieniem wolności prasy polskiej, nad spotęgowaniem systemu germanizacyjnego w szkolnictwie ludowym, nad podziałem prowincji poznańskiej i wcieleniem różnych jej części do granicznych prowincji niemieckich itd.

Z początkiem roku 1886 rząd wystąpił z szeregiem nowych projektów ustawowych, wymierzonych przeciwko Polakom. Pierwsze miejsce wśród nich zajmował projekt **utworzenia funduszu 100-milionowego na wykup ziemi polskiej i na osiedlenie na niej włościan niemieckich.** Po wniesieniu tego projektu **ustawowego w sejmie,** było dla każdego rzeczą wiadomą, iż rząd nie cofnie się przed systematycznym niszczeniem rozwoju gospodarczego ludności polskiej.

Skoro w latach osiemdziesiątych rząd pruski z kościołem jako tako się pogodził, nie zaprzestając jednak gnębienia Polaków, których teraz jeszcze bardziej zaczął prześladować, nowy książę-biskup Jerzy Kopp, **przeniesiony** w roku 1887 ze stolicy **fuldyjskiej na wrocławską,** zastosował się do tej polityki, by nie zrazić do siebie kół rządowych; z czasem nawet, sam okazał się przeciwnikiem swych polskich diecezjan.

Zupełne zniesienie języka polskiego

Rząd pruski w roku 1887 zniósł w szkołach ludowych zakonu pruskiego zupełnie naukę języka polskiego. Co więcej, zakazał nauczycielom udzielać nawet prywatnie nauki **języka polskiego.** Skutek był ten, iż nauka religii, o ile jej udzielano w myśl rozporządzeń z roku 1873 po polsku, nie mogła się odbywać należycie; proboszcz udzielający nauki religii, musiał przede wszystkim nauczyć dzieci czytać i pisać po polsku.

Gdy w roku 1888 regencja w Opolu zrobiła nieśmiałą próbę wprowadzenia w języku niemieckim nauki przygotowawczej do Sakramentów św., **wtedy stanowczo oparło się duchowieństwo górnośląskie tej żądzy germanizacyjnej.**

Założenie „Nowin Raciborskich"

W roku 1889 założone zostały w Raciborzu „Nowiny Raciborskie". Pierwszy numer „Nowin" wyszedł 16. III. 1889 r. pod firmą Ignacego Rostka. Redaktorem został Jan Karol Maćkowski, późniejszy redaktor „Dziennika Kujawskiego", który śmiałe słowa przypłacił więzieniem. Od roku 1894 wydawcą „Nowin" był Maćkowski, później Jan Eckert, aż nareszcie wydawnictwo „Katolika" zakupiło „Nowiny".

W roku 1890 wznowiono wycieczki ludowe do Krakowa. Inicjatorem wycieczki był współpracownik „Katolika", **Józef Gallus.** Redaktor „Katolika", Adam Napieralski, myśl tę podjął i zaprosił do pomocy redaktorów Koraszewskiego („Gazeta Opolska") i Maćkowskiego („Nowiny Raciborskie"). W trójkę urządzili tedy wycieczkę, która się stała prawdziwie historyczną.

Powstanie „Gazety Opolskiej"

We wrześniu 1890 r. w Opolu dotychczasowy redaktor „Katolika", Bronisław Koraszewski, założył skromnymi środkami drukarnię i zaczął wydawać „Gazetę Opolską", która początkowo wychodziła dwa, później trzy, a wreszcie cztery razy na tydzień. W krótkim przeciągu czasu młody, niezmordowanej pracy i poświęcenia redaktor zdążył pozakładać liczne stowarzyszenia w Opolu i okolicy. **Pracował nad oświatą ludu tak, że powiat opolski stał się jednym z najlepszych.** „Gazeta Opolska" wychodziła do roku 1922, kiedy to Niemcy, po podziale Śląska, zniszczyli drukarnię i uniemożliwili dalsze wydawanie pisma.

Na początku lipca 1891 r. miał się odbyć wiec katolicki w Raciborzu. Po ukonstytuowaniu się komitetu przygotowawczego z miejscowym proboszczem ks. radcą Schafferem na czele, utworzył się osobny polski komitet z dr. Rostkiem na czele. Chciał on ewentualnie na własną rękę kierować polską częścią wiecu. Ostatecznie po długich i mozolnych pertraktacjach doszło do porozumienia i odbył się jeden wspólny wiec, na którym dużo mówiono też o sprawie narodowej. Według redaktora „Katolika", Napieralskiego, **był to jednak nekrolog dla politycznego znaczenia partii centrowej pomiędzy ludem polskim na Górnym Śląsku.** W każdym razie odtąd „Centrum" wieców katolickich na Górnym Śląsku nie urządzało, nie posiadając już teraz władzy do ich opanowania.

Klęska centrowców w wyborach w Bytomskiem

W roku 1893 „Katolik" przeprowadził samodzielnie wybór majora Szmuli, wbrew postanowieniu centralnego zarządu śląskiej partii centrowej. Major Szmula był posłem do sejmu i parlamentu z okręgu bytomskiego od roku 1835. Ponieważ był zanadto popularny i z redaktorami polskimi żył w najlepszej zgodzie, był niewygodny przywódcom centrowym. Postanowili więc jego kandydatury przy wyborach w roku 1893 już nie ponawiać. **Wobec tego Szmula w okręgu bytomskim sam się postawił jako kandydat i z pomocą „Katolika" odniósł świetne zwycięstwo nad oficjalnym centrowym kandydatem, ks. komisarzem i dziekanem Nerlichem z Piekar.** Szmula uzyskał bowiem, ku przerażeniu centrowców, 21.887 głosów, gdy ks. Nerlich ich miał tylko 10.120.

W Raciborskiem głosują na polskiego kandydata

Od 1877 aż do 1893 r. okręg raciborski wysyłał do parlamentu niemieckiego posłów centrowych. **Po raz pierwszy w roku 1893 ludność polska, pod przewodnictwem dr. Józefa Rostka, lekarza w Raciborzu i Karola Maćkowskiego, redaktora „Nowin Raciborskich", zerwała jawnie ze stronnictwem niemiecko-katolickim „Centrum" i postawiła własnego polskiego kandydata,** emerytowanego nauczyciela Filipa Robotę z Prudnika. Centrowcy postawili kandydaturę ks. Franka, dawniejszego kapelana raciborskiego, a nadto dla osłabienia wpływu „Nowin Raciborskich" wydawali w Raciborzu własne pismo p. t. „Gazeta Górnośląska-Ludowa". Zawrzała zacięta walka przedwyborcza. Zapał wśród ludu polskiego był wielki, mimo to Polacy ponieśli klęskę. Na kandydata polskiego oddano 5749 głosów, na kandydata centrowego 9582 głosy. **Wina przegranej spada głównie na ludność morawską tegoż okręgu.** Ona to, z nielicznymi wyjątkami, **stanęła murem przy Niemcach** i dopomogła im do zwycięstwa.

Wybory wśród niezwykłych okoliczności

Okręg prudnicki wybierał od wielu lat posła rolnika Strzodę z Wierzchu, który wprawdzie należał do „Centrum", ale był wybrańcem ludu polskiego. Strzoda uzyskał mandat poselski w roku 1894 wśród niezwykłych okoliczności. Chodziło o wybory uzupełniające, ponieważ dotychczasowy poseł ks. Cytronowski, złożył swój mandat. Oficjalnie „Centrum" postawiło jako kandydata Niemca Delocha, oficera pruskiego i właściciela ziemskiego. Natomiast **chłopi polscy z okolicy Głogówka, którzy Delocha posłem mieć nie chcieli, postawili cichaczem, bez uwiadomienia nawet gazet polskich, rodaka swego Strzodę** i rozwinęli szeptaną i za pomocą wydrukowanych w ostatniej chwili odezw, żywą agitację za swoim kandydatem. Rezultat był nadspodziewany. **Strzoda otrzymał 3501 głosów, Deloch 3896, socjalista 619 głosów.**

Nastąpić musiały ściślejsze wybory. **Strzoda, kandydat ludu polskiego, poparty przez część włościan niemieckich, otrzymał 7565 głosów,** Deloch zaś, na którego w pierwszym wyborze oddano 3896 głosów, spadł teraz na 2746. **Strzoda został wybrany, a wybór jego stał się prawdziwym triumfem polskiego stanu rolniczego w Prudnickiem,** który przez wszystkie dalsze kadencje swojego posła na wymienionym stanowisku zdołał utrzymać i czcił go jako swego wodza i obrońcę.

W roku 1895 w okręgu pszczyńsko-rybnickim polski kandydat Radwański od razu dostał 12.447 głosów, gdy oficjalny kandydat von Huene miał ich tylko 4501.

Pierwsze Towarzystwo Czytelni Ludowych

Pierwsze Towarzystwo Czytelni Ludowych na Górnym Śląsku założył w roku 1893 w Rybniku emigrant z Poznania, lekarz, dr. Biały. Do tego czasu rozwój towarzystw oświatowych, przy których zakładano biblioteki, był słaby: poszczególne Towarzystwa nie były połączone w żadną większą organizację. Podlegały one bezpośrednio Towarzystwu Czytelni Ludowych i stamtąd też były wspierane nowymi książkami. Że musiały staczać ciężką walkę z władzami pruskimi, to rzecz sama przez się zrozumiała. Mimo to praca oświatowa szła samorzutnie naprzód.

Opis geologiczny i zasoby węgla kamiennego Zagłębia Górnośląskiego

Zasobne w węgiel złoża zagłębia górnośląskiego należą do t. zw. **paralicznych,** w odróżnieniu od złóż **limnicznych,** do których zaliczamy m. in. nasze zagłębie dolnośląskie, będące uboższe w węgiel.

Wskutek sił wewnętrznych pokłady węglowe uległy pofałdowaniu, tworząc fleksury lub też obsunęły się, tworząc po pęknięciu uskoki pionowe względnie poziome tak, że napotyka się nie na jedną lecz kilka warstw węgla o różnej grubości, rozdzielonych różnymi konglomeratami. Ta dawna działalność sił wewnętrznych jest przyczyną dość charakterystycznych kierunków sfałdowań górnośląskiego zagłębia węglowego. Pod tym względem rozróżniamy dwa obszary: zachodni, a zwłaszcza południowo-zachodni o sfałdowaniu południkowym oraz pozostałe części zagłębia o sfałdowaniu równoleżnikowym. Ostatecznie wytworzyły się siodła, łęk i niecki, a cała seria warstw produktywnych, dzieli się na następujące grupy:

1. pokłady brzeżne — jako dolne;
2. pokłady siodłowe — jako środkowe;
3. pokłady łękowe — jako górne.

Produktywne **pokłady brzeżne** ciągną się na zachodzie i północy pasem kilkunastokilometrowej szerokości; miejscami ujawniają się na powierzchni ziemi. Dzielą się na dolną i górną warstwę, z których **pierwsza (na zachodzie) posiada** miąższość około 1650 m i składa się z 63 pokładów o łącznej grubości 42 m węgla; miąższość górnej wynosi natomiast tylko 950 do 1200 m z 36 pokładami o łącznej grubości węgla ponad 31 m. W kierunku wschodnim jedne i drugie warstwy ulegają znacznemu zredukowaniu, przy czym na najdalej wysuniętym wschodzie ich układu znajduje się już tylko 8 do 10 pokładów, nadających się do eksploatacji. Te poszczególne pokłady dochodzące w przekroju pionowym od 1 do 3 m, składają się przeważnie z cieńszych. Między wspomnianymi grupami [illegible] brzeżnych, dolną i górną, [illegible] się warstwa nieproduk-

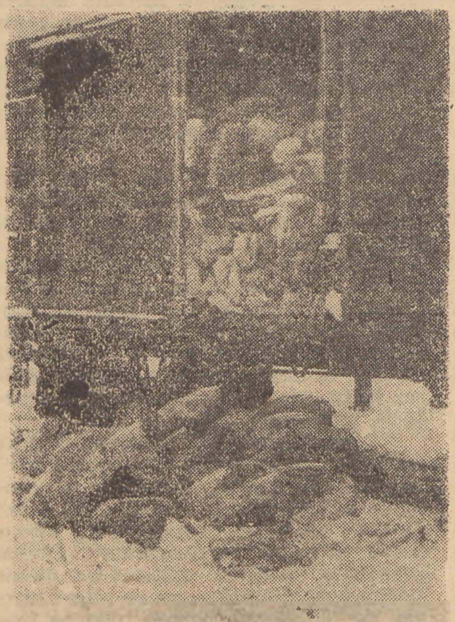
(Ciąg dalszy na str. 5)

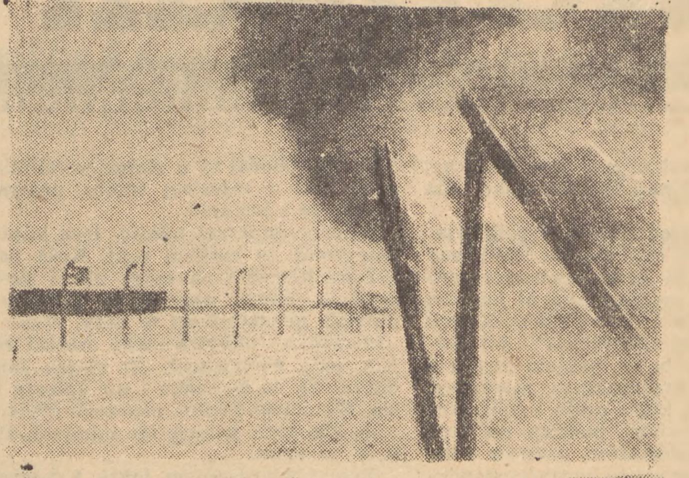
W rocznicę wyzwolenia Oświęcimia

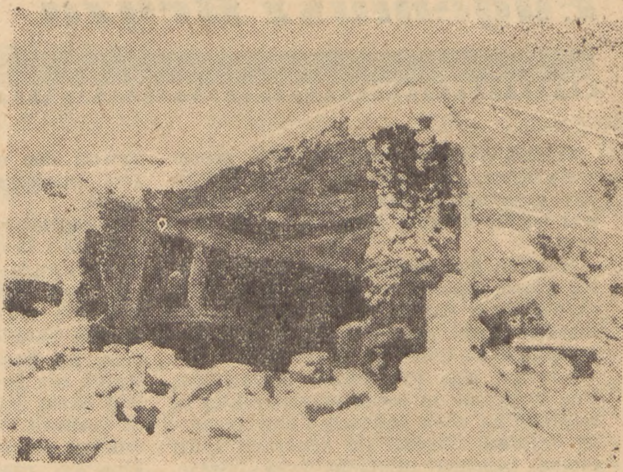
W tych dniach mija druga rocznica wkroczenia wojsk, niosących wyzwolenie, na teren koszmarnego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, w którym zginęły dziesiątki tysięcy ludzi, nietylko Polaków, ale i przedstawicieli podbitych narodów całej Europy.

Szereg reprodukowanych przez nas zdjęć dokumentarnych jest ciągle żywym dowodem zapominanych powoli przez dyplomację światową zbrodni niemieckich.

Zdjęcie pierwsze od góry przedstawia płonące na terenie obozu budynki, podpalane, dla zatarcia śladów zbrodniczej działalności, przez cofające się oddziały niemieckie, obok fragment ruin zniszczonego krematorium. Na dwóch pierwszych zdjęciach dolnych widać wagony z rzeczami pomordowanych, które zapobiegliwi gospodarze Oświęcimia nie zdążyli odesłać do Rzeszy i wreszcie na ostatnim — zmarznięte, pokryte szronem ciała tych, którym nie było dane doczekać dni wolności. Tempo ucieczki nie pozwoliło już Niemcom na spalenie tych zwłok.











Roman Horoszkiewicz

Z przeszłości Ziemi Opolskiej

Trzy księżne na Opolu

Pierwsza — była księżniczką bułgarską, żoną księcia Kazimierza I. a po śmierci jego w r. 1229, sama księżną na Opolu...

Druga — córką jednego z najmożniejszych władców w Europie, Zygmunta I, króla Polski i Wielkiego Księcia Litwy i królowej Bony, pięknej księżniczki z dalekiej Italii. Również jako wdowa, w imieniu syna swego, Jana Zygmunta — rządziła Opolem w latach 1551—1556.

Trzecia — księżniczką francuską, a żoną po kolei dwóch braci, królów Polski. Otrzymała ona Opole od drugiego męża, Jana Kazimierza w roku 1655.

O każdej z nich można napisać powieść, komedię, lub dramat raczej. O pierwszej, — gdyż imię ma romantyczne — Viola, — i ponieważ mądrą musiała być, ponad kobiety swoich czasów, ta „ducissa in Opole" — jak tytuł jej opiewa; o drugiej — ponieważ ambitną i piękną była i wokół niej koncentrowała się jakiś czas gra polityczna całej Europy, a i o trzeciej ponieważ dobrze znamy jej czasy, jej spryt, jej polityczne kabały i posiadamy dosyć materiałów, opisujących jej życie.

* * *

Nad pięknym szmatem kraju panował książę Kazimierz, syn Mieszka I. Plątonogiego, prawnuk Bolesława Krzywoustego. On właśnie za stolicę obrał sobie Opole, (ojciec jego wolał Raciborz), — skąd rządził ziemiam Opolską i Raciborską, Cieszyńską i Bytomską... Gospodarował dobrze, zakładał klasztory i kościoły. Opiekował się miastami, które organizował na nowy, zachodni sposób. Ani mu się śniło na pewno, że kiedyś, kiedyś po latach, spróbują mu pseudo-uczeni niemieccy sugerować tendencje germanizacyjne. Lekko, bardzo nieśmiało, ale przecież... Trudno zrobić z niego „zniemczonego Piasta", skoro oficjalny niemiecki genealog Piastów śląskich pisze, że „o germanizowaniu w późniejszym tego słowa znaczeniu, nie można było wówczas jeszcze myśleć"...*)

Szerokie musiał mieć stosunki na europejskim Wschodzie ów książę Kazimierz Opolski, jeżeli ożenił się aż w dalekiej Bułgarii...

W ogóle stosunki Piastów ze Słowiańszczyzną Południową zasługują na przypomnienie i baczniejszą uwagę... (Viola przybyła stamtąd, a w sto lat prawie później, tam znowu, do równie dalekiej jak Bułgaria — Bośni — pojedzie Elżbieta Piastówna, księżniczka gniewkowska, jako żona Stefana Kotromanica, pana Bośni, by zostać — babką późniejszej królowej Jadwigi.

Kazimierz wstąpił na tron Opolski mając lat 32, w r. 1211. Z Violą ożenił się chyba gdzieś po roku 1220, gdyż umierając w r. 1229, zostawia ją z dwoma synami, 4- i 5-letnimi. Objął nad dziećmi opiekę bliski, a potężny kuzyn, Henryk I. ks. wrocławski — jednak jakieś prawa regencyjne, zastrzeżone może w testamencie męża, miała i Viola, gdyż w aktach występuje z tytułem księżnej na Opolu, i znamy (w kilku egzemplarzach) jej pieczęć, wskazującą na samodzielne stanowisko**). Pieczęć ta naprawdę piękna, przewieszona jest przy aktach z lat 1230, 1234 i 1235. Przedstawia księżnę Violę w płaszczu książęcym, z wdowią namitką na głowie, — siedzącą na tronie, między stojącymi obok obu swoimi synami: Mieszkiem II i Władysławem.

Jednak w r. 1238 Viola pisze się już księżną na Kaliszu i Wieluniu. Oba te księstwa odstąpił jej i jej synom Henryk I. Wrocławski, po zdobyciu Wielkopolski na Władysławie Odoniczu. A w r. 1239 syn Kazimierza i Violi, Mieszko II, jako pełnoletni już (14 lat) sam obejmuje Opole. Nie na długo jednak, gdyż w r. 1246 umiera wskutek upadku z konia. Matce w testamencie zapisuje Raciborz i Cieszyn... Umarła księżna Viola dnia 7 września 1251 roku.

Trzysta lat później żyła druga księżna na Opolu, Izabela Jagiellonka, wdowa po Janie Zapolyi, królu węgierskim. Wyszła za mąż w r. 1539, a już w rok później zmarł jej mąż, a ona została z 2-tygodniowym synkiem Janem Zygmuntem, obwołanym zresztą zaraz królem Węgier. Polityka rodu Jagiellonów, cesarskiego domu Habsburgów, narodów polskiego, litewskiego i węgierskiego, splata się wokół tego dziecka. A zainteresowane są mocno i papiestwo, Francja, Turcja, Moskwa i Hiszpania nawet.

Zwycięstwo polityczne odnieśli Habsburgowie. Izabela w imieniu syna zrzekła się praw do korony węgierskiej i oddała Siedmiogród, dotychczas utrzymany, a dostała Opole i Raciborz, w dziedziczne władanie, (jako lenno zresztą królestwa czeskiego).

Zjechała więc uroczyście na Śląsk w r. 1552 i zawsze w imieniu syna, odebrała hołd od nowych poddanych. Nie mogły jednak młodej, pięknej, byłej królowej, byłej pani na wspaniałej Budzie, wychowanej na świetnym Wawelu, podobać się sale(?), i pokoje zamku „na wyspie" w Opolu. Tym bardziej, że i kraj, zrujnowany przez chciwych Habsburgów i Hohenzollernów, (w ogóle przez Niemców) nie mógł dać odpowiedniego utrzymania i oprawy królewskiemu domowi. Po królewskie więc znowu stanowisko sięgnęła Izabela, w imieniu syna, i porozumiawszy się z węgierskim narodowem stronnictwem, wróciła do Siedmiogrodu.

I znowu w 100 lat później, mamy trzecią księżną na Opolu. (Czyżby magia cyfr? — 1251 umiera Viola, 1551 otrzymuje Opole Izabela, 1655 — Ludwika Maria).

Już w roku 1645 król Polski Władysław IV ***) z sum posagowych swojej drugiej żony, Ludwiki Marii, dopożycza cesarzowi Ferdynandowi, do nieodebranych posagów dwóch arcyksiężniczek (żony Zygmunta III i swojej pierwszej żony) — aby uzyskać wzamian w zastaw księstwa opolskie i raciborskie. (Chuda fara była widocznie u tych zarozumiałych Habsburgów...).

W 1647 r. załogi polskie zajmują Opole i Raciborz. Księciem Opolskim zostaje brat królewski Jan Kazimierz. Wybrany jednak królem Polski w roku 1648, oddaje je trzeciemu bratu, Karolowi, księciu-biskupowi wrocławskiemu. I dzięki temu biją się Ślązacy pod Beresteczkiem... Dwa pułki dragonów pod dowództwem pułkowników: Jerzego Szafgocza i Krembsa, przysłał Karol na pomoc Polsce.

W r. 1655 umiera książę Karol i król oba księstwa oddaje królowej Ludwice Marii.

Nadchodzi „potop" szwedzki. Król i królowa w grudniu 1655 r. chronią się na Śląsk. W Opolu jednak zamieszkać nie mogą. Nie ma po prostu gdzie. Zamek „na Górce" był już wtedy ruiną, zamek „na wyspie" nie nadawał się na królewskie mieszkanie. (Posiadamy jego opis, który sporządzić kazał Władysław IV). Królestwo więc oboje z częścią dworu wyjeżdżają do Głogówka, gdzie przyjmuje ich w swym wspaniałym zamku hr. Oppersdorf. Kancelaria królewska została w Opolu. I stąd wyszedł manifest królewski, wzywający naród do wytrwania, do dalszej walki ze Szwedami.

* * *

Na 50 lat opiewał układ zastawny na Opole i Raciborz, zawarty między Habsburgami i Wazami w r. 1645. — Trwał jednak tylko lat 21.

Jeżeli dzieje Violi, księżniczki bułgarskiej, pani Opola w XIII wieku, to temat do powieści historycznej, — jeżeli sprawy życiowe Izabeli, królewny polskiej, królowej węgierskiej, księżny siedmiogrodzkiej i księżnej opolskiej w XVI wieku, godne są dramatu, — to ostatnie lata władania Opolem przez Ludwikę Marię w XVII wieku — to temat do komedii, a raczej tragi-farsy, czy powieści awanturniczo-detektywistycznej. Bo jest tu i intryga polityczna, są swaty i tajne knowania o tron i wreszcie jest i — niewiadomo dokładnie — fałszerstwo, czy kradzież testamentu***).

Bo było to tak:

Królowa Ludwika Maria, nie mając dzieci z Janem Kazimierzem, koniecznie chciała wybór następcy na tron polski po nim przeprowadzić jeszcze za jego życia. W grze o koronę polską wzięła wówczas udział przede wszystkim Francja. Według projektów królowej, królem polskim miał zostać książę francuski D'Eughien, po małżeństwie z Anną, księżniczką bawarską, siostrzenicą Ludwiki Marii. Posagiem jej miały być właśnie księstwa opolskie i raciborskie. Znaczyło to ogromne wzmożenie się wpływów francuskich, znaczyło zagrożenie Habsburgów od północy i wschodu. Na utratę więc Śląska nie mogli sobie Habsburgowie absolutnie pozwolić. Może gdyby i dwór francuski i królowa polska działały zgodnie i szybko — rzecz byłaby się udała. Jednak tak nie było. Jak zwykle w polityce, — niedowierzano sobie na wzajem. I jedna i druga strona, chciały jak najwięcej zyskać, a tymczasem cesarz wystąpił z kontrakcją. Zgłosił mianowicie, że biskup Karol Waza, książę opolski i raciborski, umierając w r. 1655 zapisał w testamencie te księstwa nie bratu Janu Kazimierzowi, ale cesarzowi. Są więc dwa testamenty. Jeden, korzystny dla siebie, ma cesarz. Drugi ważniejszy, bo późniejszy, miała Ludwika Maria. Miała — ale gdy przyjdzie go pokazać, okazuje się, że właśnie gdzieś zaginął. Zaczyna się istna farsa szukania testamentu, który podobno schowali gdzieś — Jezuici. Wreszcie odnajduje się kopia testamentu, ale powstaje teraz spór o legaty, które były w pierwszym testamencie, a których nie ma w drugim. Wśród tego — cesarz zbiera pieniądze, potrzebne na wykupno zastawionych księstw.

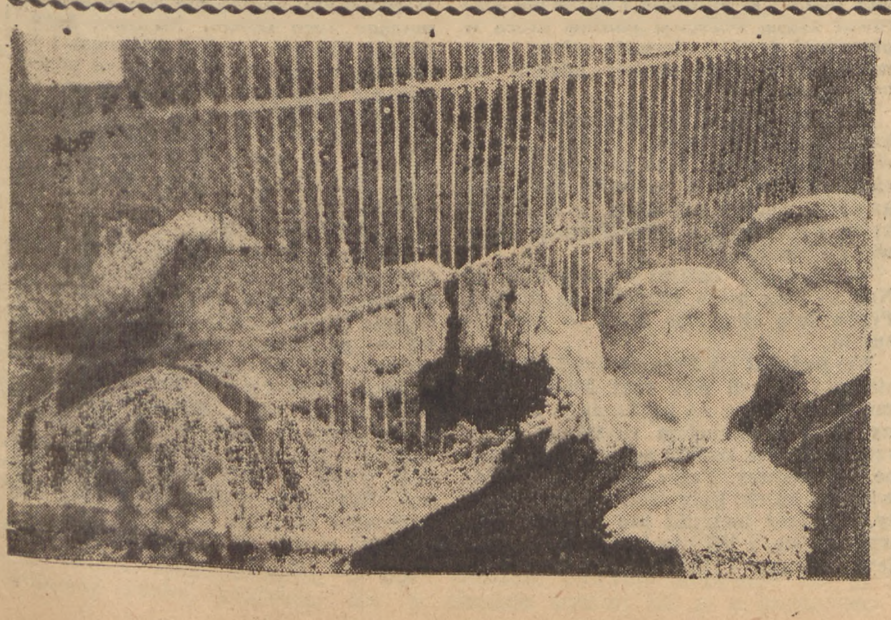
W r. 1666 cesarz wykupił zastaw. — 30 maja owego roku odbył się w Opolu odpowiedni, uroczysty akt, w obecności delegatów polskich, francuskich i cesarskich. Opole i Raciborz wróciły znowu pod wpływy niemieckie.

Tak to na przestrzeni 437 lat Opole trzy razy pod rządami kobiet stanowiło obiekt polityki, raz polskiej czy śląskiej, a dwa razy nawet europejskiej...

*) Hausdorf: „Die Piasten Schlesiens" — Wrocław 1933, str. 149.

**) Dr. J. Gottschalk: „Die oberschlesischen Piasten-herzöge in 12. u. 13. Jahrhundert" — Opole 1931 („Der Oberschlesier", nr 6).

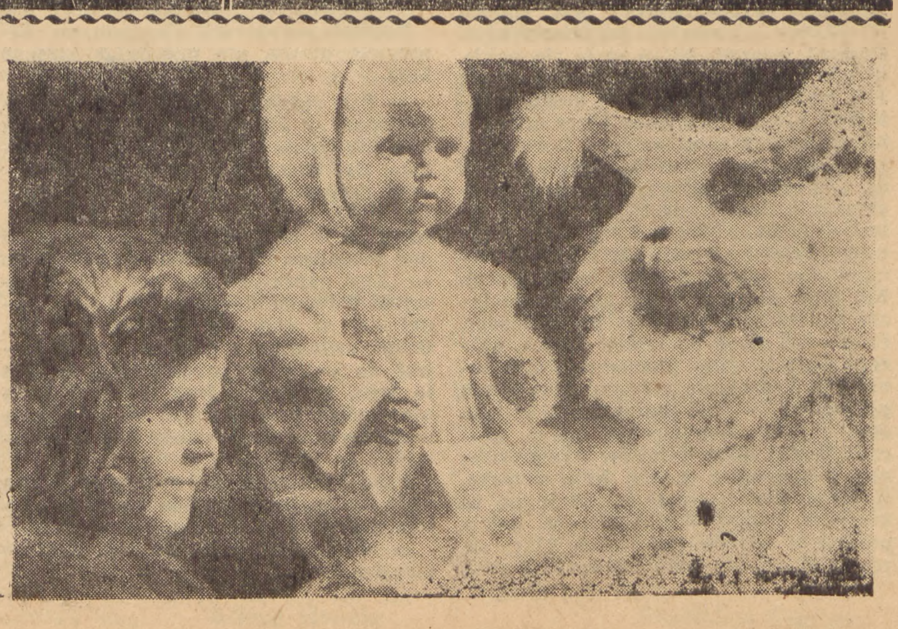
***) Dr Władysław Dzięgiel: „Utrata księstwa opolskiego i raciborskiego przez Ludwikę Marię w r. 1666" — Kraków 1936, P. A. N.



Wystawa królików w Katowicach

W Katowicach otwarta została dwudniowa wystawa królików, zorganizowana przez Stowarzyszenie śląskich hodowców drobnego inwentarza, na której przedstawione zostało 17 ras tych pożytecznych zwierzątek. Dział wyrobów ze skórek oraz wełny króliczej uzupełniał pokaz.

Na zdjęciach klatki ze wspaniałymi okazami królików, oraz fragment działu produkcyjnego — lalka w sukience z wełny angory, a obok niej puszysta dostarczycielka tej wełny.



Kapitan Noe

Eugeniusz Bryza

Nowela

Gdzieś w głębi, pod pokładem, pracowało niezmordowanie serce statku. Głuchy, monotonny stukot maszyn powodował lekkie drżenie żelaznych ścian kajuty.

Kapitan Noe siedział przy biurku. Siwą głowę wsparłszy na dłoniach wsłuchiwał się w daleki, przytłumiony pojęk maszyn. Duży czarny kot spał skulony w kłębek na kolanach żeglarza.

Kapitan Noe był bardzo stary. Imię Noe otrzymał od braci marynarskiej ze względu na wiek podeszły i patriarchalny wygląd. Należał do generacji ludzi morza, których niewielu żyło jeszcze, a spośród żyjących on był ostatnim, który pełni służbę na pokładzie. Ale służba ta kończy się już; to jego ostatni rejs. Potem — rozpocznie inne życie. Oczekuje go najmłodsza córka i wnuczki w małym domku pośród ogrodów i pól uprawnych. Tam znajdzie na stare lata spokój i dobrą opiekę, a także życzliwe serca. Dosyć już morza i włóczęgi. Wysłużył się, zdarł; odchodzi, przemija, jak wszystko na tym świecie. — Przetrzymał tamtych, najdłużej z nich deptcze pokład, ale teraz — trzeba już odejść. Nie ma na to rady. — Cóż z tego, że kocha swój zawód, że trudno mu będzie pożegnać morze, które tętni mu w żyłach. Z chwilą, kiedy „Jutrzenka" rzuci cumy w porcie, zostanie skreślony z listy żeglarzy. Jadwisia, jego córka, przyrzekła oczekiwać dziadka w przystani, i uprowadzi go zaraz na wieś. Jadwisia — to kochane dziecko, wszystko uczyni, aby mu było dobrze w małym domku wśród pachnących pól. Jadwisia lubi kwiaty i hoduje z zamiłowaniem drób rasowy. — On będzie dużo wypoczywał, palił swoje cygara, — może okaże się nawet pomocny w gospodarstwie, bo właściwie „zmęczony" nie czuje się jeszcze; mógłby śmiało pozostać na morzu i pracować dalej. Cóż z tego, kiedy cenzus wieku stoi na przeszkodzie. Stary żeglarz zna bezwzględność przepisów prawa morskiego, które zresztą on sam zawsze respektował i czego z całą surowością od swych podwładnych wymagał

Tęsknotę za morzem będzie mógł przelewać na papier (pisała w ostatnim liście Jadwisia) i powstaną w ten sposób piękne pamiętniki, które wydadzą drukiem. — Ba, kiedy on nie potrafi pisać; nie umie wyrazić słowem tego, co czuje. Zredagowanie dłuższego listu kosztuje go nieraz tyle wysiłku. Na piękno ma duszę wrażliwą ,ale opisać swoje bogate przeżycia na morzu — nie, nie byłby w stanie. Korzeniowski — to co innego. Tamten stworzył arcydzieła o morzu, jak nikt przedtem! Ale on?

Potem życie przepędzi go i stamtąd. Skończy się wszystko. Zagrzebią do ziemi... Do ziemi... — Kapitan Noe pragnął zawsze spocząć kiedyś na dnie morza, jak godzi się żeglarzowi, jak wielu uczyniło spośród dawnych jego druhów. Ta myśl właśnie, że przyjdzie mu oddać kości ziemi ,zamiast pogrążyć się w głębinach, zaszyty w płótno, z ciężarem u nóg — według obrzędu morskiego — smuciła go najwięcej.

Stary wilk morski uważał, że wraz ze zwolnieniem z pokładu kończy się właściwie wszystko, że tu rozpoczyna się kres jego życia. — Dlatego planów na przyszłość nie snuł żadnych, nie wyobrażał sobie nic. Bał się tego momentu, kiedy przyjdzie mu po raz ostatni schodzić po trapie na ląd. Miał żal do swoich przełożonych, że go krzywdzą, posyłając na emeryturę; z drugiej znów strony musiał przyznać, że słusznie czynią, skoro wymaga tego prawo. Tak już widocznie być musi. Jutro nad ranem „Jutrzenka" przybędzie do portu macierzystego. Trzeba uporządkować swoje rzeczy, pozbierać w walizki i rozstać się z wszystkim, co było dotychczas treścią jego życia. „Jutrzenkę" pożegna na zawsze, bo gdyby nawet zapragnął zobaczyć kiedyś statek, będzie to rzeczą niemożliwą, bo „Jutrzenka", podobnie jak on, odbywa swój ostatni rejs. Może towarzystwo żeglugowe wpadło na tak złośliwy koncept, może jest to zwykły przypadek, że wraz z jego zwolnieniem przeznaczono „Jutrzenkę" do rozbiórki na złom. — „Jutrzenka" jest starym frachtowcem, poważnie przyniszczonym. Remont maszyn, które stale się psują, utrudniając żeglugę, nie kalkuluje się już. Wyrok na jego statek został ostatecznie przypieczętowany przez orzeczenie komisji rzeczoznawców towarzystwa ubezpieczeń. Kontynuowanie żeglugi na „Jutrzence" zakwestionowano kategorycznie. Statek sprzedano na rozbiórkę. — Kapitan Noe w swej długiej karierze widział niejeden stary korab, który w ten sposób kończył swój żywot. Nie tylko on, lecz i inni sędziwi żeglarze nie mogli patrzeć na ten proceder. Bolało ich serce na widok statku, którego boki krajano płomieniem acetylenowym i rozbijano młotami urządzenia pokładowe. — Tak nieraz ginęli w jego oczach niemi bohaterowie morza, których łączna długość rejsów wystarczała, aby kilkakrotnie opasać kulę ziemską. Kapitan Noe uważał, że dzieje się tu krzywda, niesprawiedliwość, że ludzie postępują nierzetelnie. Statek, który się wysłużył, winien godnie zakończyć swój żywot: dno morskie, nie piec hutniczy, jest miejscem na cmentarzysko dla niego.

Dwadzieścia pięć lat jego życia wiązało się z życiem tego statku. Setki razy przeprowadzał go przez niebezpieczeństwa, wyrywał morzu, ratował na nim istnienia ludzkie i cenny ładunek. Był częścią składową „Jutrzenki", jej sercem, jej duszą, bo w pojęciu żeglarza statek nie jest przedmiotem martwym, lecz istotą żywą, która czuje, myśli, która rozumie człowieka, poddaje się jego władzy, słucha rozkazów, pozwala sobą kierować; czasem statek potrafi człowiekowi płatać figle — jakie jeszcze! — igra ze swym władcą, ale w chwili niebezpieczeństwa ulega i pozwala brać się w cugle bezwzględnego posłuszeństwa. Kapitanowie — a jest tak już od chwili, kiedy praszczur żeglarzy wypłynął na wody potopu — czują wielką wspólnotę, jaka łączy ich ze statkiem. Są momenty, gdzie kapitan i statek tworzą niejako organiczną całość, kierowaną umysłem człowieka. Kapitanowie znają zalety tego organizmu i jego ukryte nawet wady. Potrafią przez życie się z nimi unikać ich. Są dumni ze swych statków, nie patrząc na ich tonaż, ani ujemne strony. Przywiązani są do nich i nierzadko czują głęboki sentyment.

Trudno było by odgadnąć w tej chwili co więcej gnębiło kapitana Noe: własny los, czy los „Jutrzenki". — W pewnym momencie ocknął się z zadumy; wyraz niepokoju przemknął po ogorzałej jego twarzy. Potem uśmiechnął się słabo i machinalnie pogłaskał kota, który podniósł się z drzemki, wyprężył grzbiet i ziewnął długo. Zwierze zwróciło na pana oczy, które nie widziały światła od urodzenia. Czworonożny ślepiec zamruczał i zadowolony musnął pyskiem siwą głowę człowieka.

Kapitan Noe wstał, przeszedł się wolno po kajucie, następnie zatrzymał się, nadsłuchując pilnie z wyrazem największego skupienia. — Cisza niezmącona panowała wszędzie: serce statku przestało pracować.

„Jutrzenka" szła teraz na wysokich falach. Stary żeglarz poddawał się lekko chybotowi statku, stał i słuchał uważnie. — „Maszyny psują się. Piąty defekt podczas tego rejsu" — pomyślał z przykrością. — „Jutrzenka" goni resztkami sił. Kończy się jej żywot... i mój" — mruknął.

Ktoś zapukał do drzwi kajuty. — Był to Franciszek, oficer-mechanik. Pływał na „Jutrzence" piętnaście lat. Obydwu marynarzy łączyły węzły szczerej przyjaźni, ogrodzone dystansem stopnia służbowego. Franciszek był niezmiernie przywiązany do swego przełożonego i miał dla niego wielki szacunek; kapitan znów twierdził, że Franciszek jest najporządniejszym człowiekiem pod słońcem i najlepszym mechanikiem, jaki pływa po wodach świata. Sympatyzowali ze sobą bardzo, lecz nie okazywali tego na zewnątrz. Pomostem łączącym ich były identyczne przekonania religijne. Często prowadzili długie dysputy na tematy wiary; odkrywali u siebie wysokie skarby ducha, imponowali sobie na wzajem. Franciszek grał ślicznie na fisharmonii, śpiewając nabożne pieśni. To były chwile największej ekstazy czystej duszy starego wygi morskiego. Pogrążony w fotelu z kotem-kaleką na kolanach, słuchał wspaniałej muzyki, a łzy szczęścia spływały po ogorzałych policzkach starca. Wówczas to rozmodlone, wzruszone jego serce było najbliżej Tego, którego mądrość i piękno tak głęboko odczuwał. O „Jutrzence" mówiono, że jest to pływający klasztor. Noe dobierał do załogi ludzi o nieskazitelnym charakterze i praktykujących chrześcijan. Mógł ktoś być gorszym marynarzem, ale jako człowiek musiał wykazać się etyką bez zarzutu.

Franciszek wniósł ze sobą specyficzną woń rozgrzanych smarów i potu ludzkiego. Przychodził spod pokładu, z działu maszynowego, gdzie zawsze panuje wielki upał. Pozdrowił kapitana, jak tego wymaga dyscyplina okrętowa i rzekł:

— Stoimy. Tym razem trudna sprawa.

Kapitan potwierdził nieznacznym skinieniem głowy, nie przestając głaskać kota.

— Pan jednak da sobie radę — nieprawdaż? — Franciszek dobrze znał ten uśmiech, znała i rozumiała go cała załoga. Był więcej niż rozkazem. Franciszek zaniemógł kiedyś, rozchorował się poważnie. Leżał w gorączce, lecz zdarzyło się w tym dniu, że jego obecność pod pokładem była więcej niż pożądana. — „Czy naprawdę pan nie może?" — spytał wówczas kapitan Noe i uśmiechnął się w charakterystyczny sposób. Oficer zwlókł się z posłania i powędrował do pracy, w przekonaniu, że jest to jego, wyłącznie jego dobra wola, a nie rozkaz przełożonego. — „Dziękuję panu" — powiedział wtedy kapitan i zawrócił na pomost.

Franciszek przesunął ręką po mokrym czole. Patrzył w zamyśleniu na kota, potem wzruszył desperacko ramionami.

— Nie możemy stać na fali. Niebezpieczny dryf...

— Nie chodzi tu o statek, wyeliminowany już z rejestru; trzeba pomyśleć o załodze i towarze.

Oficer zamierzał odejść, lecz kapitan zatrzymał go ruchem ręki. Kota położył na krześle, po czym ubrał się do wyjścia. Stanął nagle przy drzwiach i patrząc mechanikowi w oczy, rzekł: — „Jutrzenka" odbywa swój ostatni rejs. Nie będę poetyzował, ale statek jakby odczuwał, co go czeka i nie śpieszy mu się. Haniebny koniec pięknego życia."

— Nic tego jednak nie odmieni. Pójdzie na złom.

Tym stwierdzeniem faktu Franciszek podciął nogi kapitanowi, który usiadł ciężko w fotelu i wskazał miejsce swemu podwładnemu.

— „Jutrzenka" nie pójdzie na złom — powiedział dobitnie, z przekonaniem. Dziwny wyraz przebiegł przez oblicze starca, oczy zaświeciły metalicznym blaskiem. Bawił się przez pewien czas osłupieniem mechanika, który zauważył z wielkim zdziwieniem:

— Przecież statek został już sprzedany na ten cel. Czyżby miał pływać dalej?

— Nie. „Jutrzenka" nie będzie już dla nich pływać. Nie pójdzie też do pieca hutniczego.

Marynarz spojrzał nieufnie na swego przełożonego. Kapitan Noe uśmiechał się w niezrozumiały sposób.

— Ot co, nie dam „Jutrzenki"; po prostu: nie dam!

Franciszek przeraził się. Czyżby Noe postradał zmysły? Znał on wagę jego słów i był przekonany, że o ile wyraził się, iż statku „nie da", postąpi tak z całą pewnością; chyba, że zachodzi tu druga ewentualność, którą przed chwilą przewidział, to znaczy, że stary oszalał.

— Nie jestem wariatem — upewnił go kapitan, odgadując myśli tamtego. — Mam inny plan.

Oficer zrozumiał nagle! Myśl ta olśniła go, spadł mu ciężar z serca. Odetchnął z prawdziwą ulgą. — A więc tak! Stary odkupi nie nadający się do żeglugi korab. Powyższa perspektywa uradowała go bardzo. Kapitan nie porzuci zatem morza. Teraz na własnym statku będzie żeglował. Dwa gruchoty, pasujące do siebie! Podeszły wiek nie pozwoli mu pełnić funkcji kapitana, lecz Noe zaokrętuje na pewno jakiegoś szaleńca, który stanie na pomoście. Franciszek pomyślał z rozpaczą, że nie opuści starego i nadal będzie trapił się z zepsutymi maszynami. W każdym razie — był zadowolony. Roześmiał się na głos, jak z dobrego dowcipu.

— Zamierza pan, kapitanie, nabyć „Jutrzenkę", ale przecież...

Tym razem Noe spojrzał na niego, jak na wariata.

— Nie. Na to jestem za biedny.

Franciszek spochmurniał. Myśl, że tamten ma niedobrze w głowie, wróciła. Została jeszcze jedna, ostatnia ewentualność, którą mógł obrać jego przełożony, ale było to absurdem, a przede wszystkim kolidowało z prawem. Kapitan, jakby podążając za myślami swego rozmówcy, rzekł przyciszonym głosem, który Franciszkowi wydał się gromem:

— Zatopię statek. Towar zapłacę z moich oszczędności. Załoga uratuje się na szalupach. Dam ludziom wszystkie szanse bezpiecznego dotarcia do brzegu. Stanie się to w pobliżu lądu.

Mechanik siedział jak ogłuszony. Potem mózg jego zaczął pracować intensywnie. Prawo morskie przewiduje wypadki, kiedy załoga jest upoważniona, mało! kiedy musi odmówić posłuszeństwa kapitanowi, a nawet w określonych razach — uwięzić go. Po długim milczeniu odezwał się, nie patrząc w oczy starcowi: — Nie zamierza pan, kapitanie, dopuścić się czynu bez precedensu, jeśli śmiem twierdzić, że znam się trochę na morzu; poza tym przestępstwo pociągnie za sobą wysoką karę. Nie mogę też pojąć, że sumienie...

— Mam spokojne. Nikogo nie krzywdzę.

Zapadło długie i przykre milczenie. Statek, skazany teraz na igraszkę fal, kołysał się silnie. Woda biła w iluminatory, zostawiając na szkle obfite ścieki. Niekiedy większe grzywacze próbowały swej mocy na żelaznych burtach „Jutrzenki", lecz rozbijały się o nie, ginąc w swym odwiecznym boju, jaki morze wiedzie ze statkami. Na zewnątrz huczał żywioł, którego odgłosy słabym poszumem przenikały do wnętrza małego, stalowego świata. — Dwaj żeglarze siedzieli milczący. Kot-kaleka, któremu natura dała jako rekompensatę za straszliwą krzywdę znakomity organ słuchu, umiejscowił pobyt swego pana i domagał się pieszczoty — jedynego słońca jego życia.

Franciszek toczył w duszy ciężką walkę. Usiłował wytłumaczyć sobie stanowisko kapitana, powołując się wyłącznie na argumenty uczucia. Rozsądek nakazywał mu bezwzględnie nie solidaryzować się z szalonym planem, lecz ratować sytuację przez stanowcze wystąpienie. Należało zatem zdemaskować wobec załogi zamierzenia kapitana. Zostałby niewątpliwie uwięziony.

— Na lądzie czeka pana odpowiedzialność — przerwał ciszę oficer.

— Upozoruję wypadek. Nikt się nie zdziwi, biorąc pod uwagę stan maszyn.

Kapitan drgnął. W tej chwili bowiem z wnętrza statku począł dochodzić miarowy, jednostajny, jakby żałosny dźwięk. Początkowo słaby, nabierał mocy, aż wreszcie przytłumiona melodia maszyn okrętowych rozeszła się w mocny rytm, powodujący drżenie ścian i podłogi kajuty. Serce statku-skazańca ożyło. Oczy marynarzy spotkały się. Zwilgotniały. I stała się rzecz dziwna: wybuchnęli obydwaj głośnym, nienaturalnym śmiechem.

— Starzejesz się i pan, Franciszku! — rzekł Noe z udaną złośliwością. — Pomocnik dał sobie radę bez pańskiej wiedzy fachowej i puścił tłoki.

Oficer-mechanik nie odszedł zaraz do swoich obowiązków. Był gościem w kajucie kapitańskiej do późna w nocy. Grał i śpiewał na prośbę swego przełożonego i przyjaciela. Następnie żeglarze spędzili dłuższy czas na rozmowie, której temat stanowiły wspólne ich przeżycia na morzu.

Była to ostatnia noc kapitana Noe na pokładzie i ostatnia noc „Jutrzenki", starego frachtowca, steranego po morzach i oceanach w służbie dla ludzi. Zanim Franciszek odszedł, dwaj marynarze zamienili przyciszonym głosem parę zdań. Kapitan wskazał na planie statku pewne miejsce, na co oficer kiwnął głową, chociaż poznać było po jego twarzy, jak trudno jest mu pogodzić się z tym, czego żądał od niego Noe.

— Zejdę ostatni, to jasne — dodał sędziwy wyga morski.

Kiedy został sam, otworzył dziennik okrętowy i pisał w nim długo. Uduchowiona twarz starca wyrażała głęboki smutek. Oderwał wzrok od księgi. Patrzył przed siebie posępnie, w próżnię. — „Jestem już nikomu niepotrzebny" — rzekł ze skargą w głosie. — „Nie czuję się słaby, może dlatego, że życie zeszło mi na czystej, sumiennej robocie. Odchodzę przedwcześnie. Wiem. Odchodzę przedwcześnie! — mógłbym im się jeszcze przydać" — zakończył swój monolog. Kiedy jednak przyszło mu pozbierać do waliz prywatne akcesoria, poczuł się nagle bardzo stary i zrezygnowany. Róne drobiazgi, które od wielu lat leżały w jednym i tym samym miejscu, uprzątał pieczołowicie. Ręce mu drżały. Gdy uporał się z niezmiernie dla niego bolesnym zadaniem, świt już dochodził od morza, przesączał się bladym blaskiem przez iluminatory do kajuty.

Kapitan Noe ogolił się i włożył nowy uniform, który nosił tylko w wyjątkowych okolicznościach. Wspaniale wyglądał w nim stary wyga morski! Włożył czapkę i stanął przed lustrem. Długo i bardzo krytycznym wzrokiem przyglądał się swemu odbiciu. Ręce jego gładziły miłośnie, tkliwie, oficerskie dystynkcje na rękawach, poprawiał marynarkę, krawat, jakby wybierał się na paradę. Oczy starca zaśmiały się szczęściem. „A mógłbym jeszcze pływać" — powiedział z wymówką i bardzo żałośnie. — „Dawniej, za naszych czasów, kiedy statki były z drzewa a załogi z żelaza, inaczej ceniło się żeglarzy" — mruknął.

Na wschodzie rozpalił się pożar morza i ognistą czerwienią szedł przez wodę. Poszum morza wtargnął przez otwarty iluminator do kajuty. Mewy kołowały nad statkiem, rzucały się żarłocznie w fale na upatrzoną z góry zdobycz. Rozpoczynał się jeden z tak wielu pięknych poranków na morzu, które przeżył Noe.

Dzwon alarmowy rozległ się na pokładzie, a wraz z nim doleciały jego uszu podniecone głosy załogi. Maszyny w tej samej chwili przestały pracować. Kapitan westchnął głęboko, ciężko, i wyszedł na pomost. Wokół odbywała się gorączkowa krzątanina. Raz po raz słychać było gwizdek oficera i rzucane rozkazy. Jak się okazało statek nabierał wody, i chociaż pompy były w ruchu, „Jutrzenka" wchłaniała ją z zastraszającą szybkością. Los frachtowca był przesądzony. Wydawane teraz przez kapitana rozkazy miały na celu ratowanie ludzi i ich prywatnej własności. Noe opanował sytuację i sprawnie kierował akcją. Przegnał panikę, która w pierwszej chwili poderwała załogę i szerzyła zamęt. Jego spokój udzielił się wszystkim.

Franciszek zajął się rzeczami z kajuty kapitańskiej i ślepym kotem, przede wszystkim kotem, o co przełożony specjalnie go prosił. W ostatnim momencie kapitan wsunął oficerowi plik listów, które Franciszek z przerażeniem schował do kieszeni.

— Ja zejdę ostatni — uspokoił go Noe — lecz może zdarzyć się inaczej. Przewiduję eksplozję kotła — pan rozumie...

Nie podobał się Franciszkowi uśmiech starca i odruch jego ręki, którą chciał mu podać jakby na pożegnanie. Trapiony złym przeczuciem ruszył ze zwierzęciem, które szalało ze strachu w siatce, do szalupy. Przez całe lata środowiskiem kaleki były cztery ściany kajuty, z której instynkt nie pozwalał mu wydalać się, a tak samo czuwał nad tym jego opiekun i jedyny przyjaciel. Aż nagle wyrwany został z ciszy i bezpieczeństwa i przeniesiony w chaos dźwięków, których nie rozumiał, a które go przerażały.

Załoga unosząc życie i mienie odbijała sprawnie od burt „Jutrzenki". Brzeg znajdował się niedaleko. Sine pasmo lądu orientowało rozbitków o bliskości ocalenia. Kapitan Noe nie kłamał, mówiąc ,że da ludziom wszystkie szanse bezpieczeństwa i pewność ratunku. Szalupy chybotały czas jakiś w pobliżu tonącego statku w oczekiwaniu na ostatnią łódź, która wiezła jeszcze w blokach na pokładzie. Na niej miał ratować się kapitan i oficer-mechanik. Zaczęli się wreszcie niecierpliwić, zważywszy na niebezpieczeństwo, jakie mógł zgotować im pogrążający się w głębinę kadłub. Powstający przy tym lej groził wessaniem w morze. Wreszcie doszedł ich tubalny głos kapitana, rozkazujący łodziom brać kurs na ląd. Wiosła skrzypnęły w dulkach i mała flotylla popłynęła w kierunku ziemi. Pierwszy oficer, obserwujący przez szkła statek, zobaczył, że ostatnia szalupa zjechała po linach na wodę. Przyjrzał się osobom, które w niej siedziały.

— Kapitan!! — krzyknął przerażony. Szybko przeniósł lornetę na statek.

Kapitan Noe stał na pomoście, i trzymając rękę przy daszku czapki, pozdrawiał łodzie w morzu.

— Kapitan na pokładzie!!! — huknął donośnie. Wiosła przestały pracować, znieruchomiały ludziom w dłoniach. Po pewnym czasie zrównała się z nimi szalupa, w której zamierzał ratować się kapitan. Oficer-mechanik siedział blady z szamoczącym się w siatce kotem. Patrzył tępo na ginącą w ich oczach „Jutrzenkę" ,na twarzy błąkał mu się bolesny skurcz.

— Kazał wam powiedzieć — rzekł, wskazując ręką za siebie — żebyście byli zdrowi. Kazał też powiedzieć, że jesteście dobrzy chłopcy i znacie swoją robotę. Ja... ja nie mogłem odwieść go od postanowienia. Nie wiedziałem, że zupełnie oszalał.

Oczy wszystkich powędrowały w kierunku, gdzie morze brało już w swe posiadanie statek. Niejedna łza słona jak ta woda, na której schodziło im życie, spłynęła na zarośnięte lub brudne od przerwanej pracy twarze. Jan, marynarz, któremu kapitan Noe pomagał dyskretnie w utrzymaniu licznej rodziny — zapłakał głośno. Siedzący za nim w ostatniej chwili złapał go za kołnierz i powstrzymał od skoku w wodę. Zamierzał spieszyć na ratunek swemu dobroczyńcy i ukochanemu przełożonemu. Najmłodszy z załogi, „Pędrak", chłopak o mięśniach goryla i tępawym umyśle, lecz nadzwyczaj uczuciowy, zaśmiał się histerycznie i trząsł na całym ciele. Pokazywał palcem na statek i chichotał, aż ciarki brały marynarzy. Pierwszy oficer, twardy z natury człowiek, pokonał wzruszenie i śledził teraz przez szkła „Jutrzenkę". — „Kapitan Noe wznawia tradycję, kiedy to kapitanowie dzielili los swego statku" — powiedział z podziwem i szacunkiem dla tamtego. — „Ostatni romantyk morza".

Kapitan Noe słyszał bulgotanie pod pokładem i czuł, jak „Jutrzenka" kładzie się gwałtownie na bok. Zimny żal ścisnął go za serce, że to on zranił śmier[illegible] bezlitosnym wyrachowaniem przyłożył rękę do jego zagłady. [illegible] sobie, że los, który miał go spotkać po tym ostatnim rejsie, byłby haniebny — ustępowały skrupuły.

Był spokojny. Tego, co nastąpi, nie bał się. Przejrzał lotem błyskawicy całe swoje życie i lekko mu było na duszy. Praca, praca — oto treść tego życia; od samouka do stopnia kapitana wielkiej żeglugi, a potem rzetelna harówka przez długie lata.

W pewnej chwili uczuł się strasznie samotny wśród olbrzymiego rozlewiska wodnego. Tak samotnym nie był nigdy w życiu. Wobec potężnego żywiołu wydał się sobie znikomym, marnym, — jakże nędznym tworem, którego wola nic tu nie oznacza. Ogrom morza i nieba nad nim przytłaczał go, upokarzał. Wspaniałym wydał mu się Stwórca i potężne Jego Dzieło. Mądrość Jego i piękno głęboko zawsze odczuwał i korzył się w serdecznej do Niego modlitwie, ale dziś, teraz, promieniała mu dusza w ekstazie, jakiej nie zaznał dotychczas. Rozmawiał radośnie z Bogiem, wyżalił Mu się, potem rozmodlonym wzrokiem żegnał morze, słońce, niebo, mewy i daleki zarys ziemi.

Był przygotowany.

Nie wzdrygnął się, kiedy zimna woda uderzyła go wartkim strumieniem w kolana, zachwiała nim brutalnie, a następnie sięgać zaczęła pasa, ramion, głowy — po całego człowieka. Puścił się poręczy, poddał topieli po raz pierwszy w życiu. Fala zerwała mu czapkę, porwała precz, jakby mściła się za tyle przegranych z nim bitew na morzu. Uderzyła mocno w twarz, zalała oczy, dała wypić głęboki słony puchar. Runęła zwycięsko, przewaliła przez niego i porwała za sobą.

W tej chwili patriarcha morza uczuł dotknięcie śmierci.

Rewolucja w przyrodzie

Nauka podbija świat roślinny

Przesiadując parę lat za drutami na wspaniałym wikcie niemieckim przy brukwi, suszonej jarzynie, nie obieranych kartoflach i ceglastym chlebie, który trzeba było ciągle znaczyć na porcje, by przypadkiem nie przekroczyć normy dziennej, wielokrotnie marzyłem o jakichś wynalazkach, które by unowocześniły starą bajeczkę „Stoliczku nakryj się". Śniły mi się ciągle góry kaszy i fasoli, słonina, nie widziany od lat kotlet wieprzowy czy kurczątko. Budziłem się z takiego snu pełen rozczarowania. Szafka jeniecka była jak i z wieczora pusta, a kiszki grały marsza całkiem „niewesełnego".

Obecnie przy przeglądaniu prasy amerykańskiej muszę stwierdzić, że Amerykanie również marzą o obficie zastawionym stole, o coraz to lepszych i doskonalszych artykułach i gatunkach. Zachodzi maleńka różnica pomiędzy tymi marzeniami. Moje były nieosiągalne, a amerykańskie — dawno zrealizowane — zasadzały się na doświadczeniach różnych stacji badawczych i produkcji na wielką skalę.

Amerykanów cechuje dokładność a nawet drozbiazgowość, ciągłe dążenie do udoskonalenia metod pracy, upraszczania wysiłków i walka z marnotrawstwem. Uczą nas Amerykanie nieznanych nam nazw i terminów, jak proteina, witaminy itd. Każda reklama konserwy amerykańskiej wygląda na receptę lekarską. Wszystkie składniki, dokładna waga, ilość witamin, cukru i soli oraz wody musi być wyszczególniona. Nie ma w tych reklamach blagi, bo prawo amerykańskie dotyczące środków żywności jest niesłychanie rygorystyczne, a kary za fałszerstwa niezwykle surowe. Dzięki temu ustawodawstwu obywatel amerykański wie co kupuje i nie ma obawy o to, że jakiś przechytrzony fabrykant nabije go w butelkę.

W przemysłach żywnościowych pracuje nad udoskonaleniem towarów, polepszeniem ich smaku i powiększeniem istotnych zawartości odżywczych armia uczonych w setkach różnych instytutów badawczych i laboratoriach tak prywatnych, jak i uniwersyteckich oraz rządowych. Stojące do dyspozycji wspaniałe elektromikroskopy (powiększające do 100.000 razy) umożliwiają odkrywanie szeregu tajemnic przyrody których dotąd nie można było podpatrzyć.

Pomidory, rodzące banany

Amerykanie lubią się spieszyć. Zmuszają też przyrodę do pośpiechu, po to, by ziemia dawała plon szybciej w większej ilości i lepszej jakości. Ostatnio np. w życiu roślin na stacjach doświadczalnych doszło do prawdziwej „rewolucji hormonowej" przy eksperymentowaniu hormonami roślinnymi.

Już przed wojną podczas pierwszych prób z hormonami roślinnymi doprowadzano rośliny do praw dziwych „szaleństw". Rośliny te polewane kroplami hormonów, wypuszczały korzenie z owoców, liści, kory i gałęzi. Pomidorowe krzaki przybierały fantastyczne formy i rodziły owoce, które wyglądem przypominały banany. Po licznych próbach uczeni nauczyli się kontrolować działanie hormonów i dziś można już kupić w składach nasion specjalne płyny, które później w ogrodach i na roli wywołują cuda. Taki hormon przyśpiesza tworzenie się owoców. Z krzaka kawy po opryskaniu tym środkiem, dojrzałe ziarna same odpadają. Ziemniaki nie psują się przy przechowaniu i nie kiełkują. Hormony zastosowane na polach pszenicy tępią chwasty, pozostawiając nietknięte kłosy zboża. To samo dzieje się z trawami na łąkach. Spryskiwane hormonami chwasty zaczynają niezwykle szybko róść i przy tym nienaturalnym wzroście wyczerpują się i giną, a na łące pozostaje sama trawa. Już dziś używa się hormonów do tępienia chwastów rosnących między torami kolejowymi.

Hormony ratują rośliny od śmierci

Inne hormony działają na obumierające rośliny jak transfuzja krwi u człowieka. Przywracają im życie. Miało to już poważne zastosowanie praktyczne w czasie wojny. Anglosasi odcięci od źródeł kauczuku naturalnego. (Daleki Wschód) zmuszeni byli do rzucenia się na uprawę różnego rodzaju roślin „gumodajnych" m. in. rośliny tropikalnej „Chryptostegia" sprowadzonej z Południowej i Środkowej Ameryki. Roślina ta nie znosi jednak długich padróży morskich i sadzonki jej poczęły gwałtownie wymierać. Hormony uratowały życie nowozakładanym plantancjom, które następnie dostarczyły gumy pod koła czołgów. nna roślina gumodajna „Lwi ząb" dzięki hormonom podwoiła swą zawartość gumy. Gałązka, czy odcięty kwiat umierającej rośliny zanurzony w rozczynie hormonów wypuszcza korzenie w 24 godzinach. Hormony doprowadziły do tego, że pomidory rosną bez pestek i rodzą dwa razy na rok.

Hormony mają również poważne zastosowanie w sadownictwie. I tak np. jabłka nie odpadają z drzew. Niektóre hormony wpływają na przedłużenie snu zimowego u drzew owocowych i nie dopuszczają do pączkowania przed ustaleniem się ciepła. Umożliwiło to przesunięcie hodowli drzew południowych dalej na północ bez obawy, że mróz wiosenny może im zaszkodzić.

Oczywiście są to, jak na razie, badania w stadium początkowym, które z biegiem czasu mogą przybrać duże rozmiary, a znaczenie ich praktyczne może być zaiste olbrzymie. Już dziś badacze prorokują, że hormony podwoją produkcję owoców; hormon pozbawi drzewa liści, tak że słońce będzie mocniej na owoce operować i wskutek tego będą one większe, soczystsze i piękniejsze. Przy owocu mango, który zbiera się dwukrotnie w roku spodziewają się owocowania co miesiąc. Duże nadzieje wiążą badacze z zakończeniem wojny i przejściem przemysłu chemicznego na produkcję pokojową. Dziś bowiem produkcja hormonów stanie się dopiero masową, co znów umożliwi ich szerokie zastosowanie w ogrodnictwie i rolnictwie.

Thyroproteina — pożywka przyszłości

Bardzo ciekawe eksperymenty robią stacje doświadczalne z hodowlą bydła i drobiu. Biorą one za punkt wyjścia gruczoły tarczykowe, które wpływają na spalanie przez organizm zwierzęcy paszy i karmy. Przez dodanie do paszy odpowiednich preparatów (z tych gruczołów), można podnieść produkcję mleka od 10 — 50% jak również zawartość tłuszczów w mleku i przyspieszać proces tuczenia. Dotąd proszek tarczykowy był bardzo drogi, bo kosztował 15 dolarów za funt. Doświadczenia nosiły charakter naukowy. Obecnie jednak zdołano wytworzyć specjalny środek z odtłuszczonego mleka z dodaniem jodu tz. thyroproteinę stosunkowo tania a 20 razy silniejszą w działaniu. Koszt dawki dziennej dla krowy oblicza się na 3 centy, co już leży w granicach kalkulacji handlowej rolników.

Działanie thyroproteiny jest nadzwyczajne. Ilość mleka zwiększa się o 20 do 50%, zaś zawartość masła od 30 — 50%, dochodząc do 6-iu % zawartości tłuszczu w mleku. U drobiu daje się zauważyć wzrost ilości zniesionych jaj, skrócenie okresu nienośności, szybszy porost pierza i szybsze tuczenie. Tak samo ma się rzecz z tuczeniem bydła i cieląt. Ostrożnie dawkowana thyroproteina nie szkodzi zwierzęciu oraz nie wpływa ujemnie na jakość mleka, tłuszczu czy mięsa.

Odkrycia hormonów i thyroproteiny uważane są za równie doniosłe jak odkrycie witamin. Jeden z naukowców amerykańskich przewiduje, że przy użyciu hormonów, oraz przy odpowiednim działaniu specjalnymi falami elektrycznymi i niewidzialnymi promieniami dąb, który rośnie dzisiaj 200 lat może urość do tej samej wielkości w ciągu tygodnia.

Żeby nie posądzono mnie o mijanie się z prawdą odsyłam Czytelników do artykułu Wheelera McMillen p. t. „Chemurgy improwes on nature" w miesięczniku „Coronet". Autor ten pisze m. in. że uczeni mogą zmieniać smak kapusty i innych jarzyn, powiększając w nich ilość soli mineralnych, witamin, cukru i innych dowolnych części składowych.

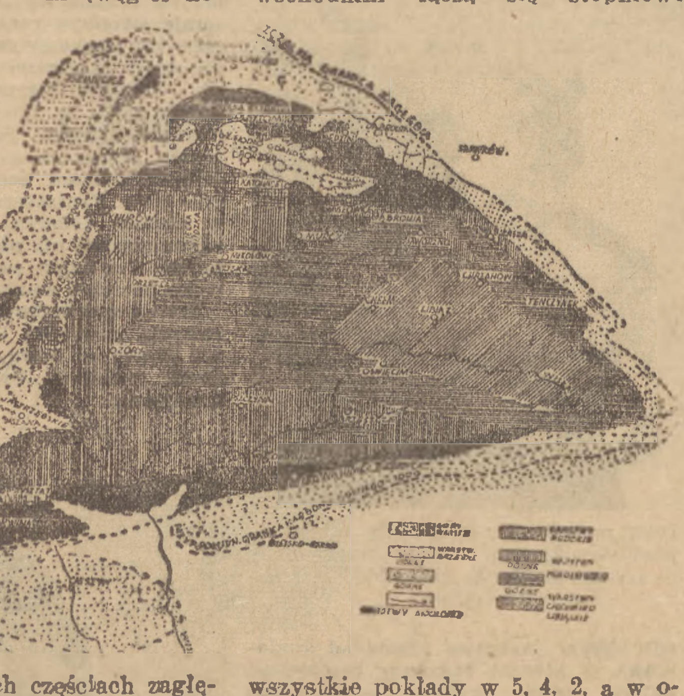
Wygląda to wszystko na jakąś bajkę. Faktem jest jednak, że uczeni robią prawdziwą rewolucję w świecie, podczas gdy politycy robią jedynie chaos i zamieszanie. W każdym razie możemy być pewni, że stół naszych synów i wnuków będzie bardziej urozmaicony i bogaty niż nasz.

Stanisław Kantor

Opis geologiczny i zasoby węgla kamiennego Zagłębia Górnośląskiego

(Dokończenie ze str. 2)

tywna (m. in. piaskowce szaro-czarne i łupki), której grubość wynosi około 200 m. W kierunku dośrodkowym pokłady brzeżne schodzą do 2000 m i więcej, co uniemożliwia ich eksploatację. Miąższość grupy brzeżnej wynosi na południowym zachodzie około 3000 m, w kierunku wschodnim i północnym natomiast dochodzi najwyżej do 900 m. Na skutek wysokiego stopnia uwęglenia jej węgiel jest najlepszej jakości. Wydobywamy go w powiecie rybnickim i gliwickim (węgiel ko-



ksujący). W innych częściach zagłębia górnośląskiego węgiel ten spotykamy sporadycznie.

W centralnej części zagłębia nad pokładami brzeżnymi występują najbogatsze w węgiel, łatwo dostępne **warstwy siodłowe.** Na północy, gdzie dochodzą do powierzchni ziemi, noszą nazwę górnośląskiego siodła głównego; na południu zaś obniżają się głęboko w kierunku środka niecki pod warstwy młodsze. Na zachodzie ujawniają się jako niecka jejkowicka i chwałowicka, w południowym zachodzie — jako siodło jastrzebskie. Koło Morawskiej Ostrawy występują w położeniu skośnym, a — jak wykazały badania geologiczne — istnieją również na wschodzie (za wyjątkiem okolic Krakowa). Natomiast nic nie wiadomo o ich rozmieszczeniu w południowej części zagłębia. Są z wszystkich trzech grup najintensywniej eksploatowane i stanowią podstawę ciężkiego przemysłu. W przeszłości wywarły znaczny a nawet decydujący wpływ na lokalizację produkcji przemysłowej okręgu górnośląskiego. Od Zabrza w kierunku Sosnowca można miejscami je spotkać na powierzchni ziemi. Miąższość ogólna dochodzi na zachodzie w okolicach Zabrza do 27 m i składa się z 6 pokładów o łącznej grubości 28,8 m węgla. W kierunku wschodnim łączą się stopniowo wszystkie pokłady w 5, 4, 2, a w okręgu dąbrowskim w jeden, o niespotykanej gdzie indziej przeciętnej miąższości 12 m, (dochodzącej miejscami nawet do 20 m grubości). Również ogólna miąższość dochodząca do 270 m (na zachodnim skraju tylko do 200 m) ulega redukcji do 120, 77, 28 i 15 m. Piaskowce i łupki towarzyszące pokładom węgla stają się ku wschodowi cieńsze, przy czym łupki w końcu zupełnie znikają, a pozostaje tylko piaskowiec grubości 3,72 m.

Górną część pokładów górnośląskiego zagłębia węglowego tworzą **warstwy łękowe**, wypełniające całe wnętrze niecki węglowej: dzielą się one na warstwy: rudzkie, mikołowskie, chełmskie i libiąskie. Najważniejsze z nich to dolne warstwy rudzkie, których miąższość na zachodzie wynosi 585 m o zawartości węgla grubości 55,69 m. Przenikają je piaskowiec biały, jasno-szary oraz łupki. Od Czerwionki na zachodzie do Brzezin na wschodzie tą łączna grubość pokładów węgla zmienia się w stosunku 2,29:1. W związku z tym obniża się liczba pokładów zmiennych w swej miąższości z 20 (z około 38 m węgla) w środku i na zachodzie do trzech na wschodzie (z około 4 m węgla). Nad tą warstwą rudzką znajdują się dolne i górne warstwy mikołowskie. Pierwsze t. zw. orzeskie składają się z 17 pokładów (z 25 m węgla). Na zachodzie miąższość ich wynosi 1700 m, a ich łączna grubość zmienia się od Orzesza do Brzezin w stosunku 2,37 : 1. Górne warstwy t. zw. łaziskie są łącznej grubości661 m z łączną miąższością węgla 28,6 m i składają się z 12 pokładów. Najmłodsze warstwy chełmskie i libiąskie posiadają miąższość 200 m, a węgiel ich jest przeciętnej jakości.

Górnośląskie zagłębie węglowe ma kształt poziomy, podobny do trójkąta równoramiennego, opierającego się o Karpaty swoją podstawą długości około 150 km. Przebieg południowej granicy zagłębia trudno ustalić, bowiem w tych okolicach pokłady są bardzo głębokie i znikają pod Karpatami zachodnimi: stąd dokładne obliczenia całej powierzchni górnośląskiego zagłębia węglowego napotykają na trudności. Wschodnia granica zagłębia dochodzi do okolic Krakowa i Olkusza, a jej dokładny przebieg to linia: Czerna, Gołonóg, Sarnów, Sączew. Na północy sięga do Tarnowskich Gór a na zachodzie do Pyskowic, Toszka, Hulczyna. Cała powierzchnia górnośląskiego zagłębia karbonu produktywnego zajmuje około 5400 km² powierzchni. W naszych granicach znajduje się obszar o powierzchni4450 km² (przed wojną — 3880 km²), a reszta t. j. 950 km² przypada na Czechosłowację.

Zasoby węgla do głębokości 1000 m przypadały 2750 km² na Górny Śląsk, 1300 km² na okręg krakowski i po 200 km² na Śląk Cieszyński oraz Zagłębie Dąbrowskie.

Oprócz karbonu produktywnego istnieje jeszcze karbon dolny, składający się m. in. z wapienia węglowego i kulmu t. j. konglomeratu m. in. łupków gliniastych, krzemionkowych oraz piaskowców. Wapień węglowy stanowi również w większości południowo-wschodnią granicę karbonu produktywnego, a jego warstwy na zachodzie, północy i częściowo wschodzie, stykają się znowu z kulmem. Na ogół trudno ustalić dokładną granicę między karbonem produktywnym i dolnym, gdyż i w karbonie dolnym można znaleźć cieńkie pokłady węglowe. Karbon produktywny przenikają w swej całej rozciągłości warstwy, składające się z łupków ilastych lub piaszczystych oraz piaskowce. Całkowita jego miąższość w swym maksymalnym profilu wynosi około 6900 m i przekracza tym samym swą grubością wszystkie dotychczas poznane pokłady węgla na świecie. Szczególnie zachodnia część zagłębia górnośląskiego cechuje wspomniana znaczna miąższość, która ulega zredukowaniu w kierunku wschodn. i półn.-wsch. gdzie dochodzi tylko do 2000 m. Pokładów węglowych posiadamy: na zachodzie 477 z 272 m grubością węgla, a na wschodzie 105 z 100 m węgla. Według badań prof. Czarnockiekiego z roku 1935 ogólna miąższość na zachodzie ma wynosić 5600 m, a na wschodzie 2400 m, przy czym pokładów nadających się do eksploatacji ma być na zachodzie 92 z137 m węgla, a na wschodzie 49 z 90 m węgla.

Zasoby węgla zagłębia górnośląskiego przedstawiają się następująco (w miliardach ton):

Zagłębie	przed drugą wojną światową	po drugiej wojnie światowej
Górnośląskie	45,381	53,981
Dąbrowskie	2,200	2,200
Krakowskie	14,200	14,200
Razem:	61,781	70,381

Zasoby po stronie czeskiej wynoszą około 7 miliardów ton.

W powyższym zestawieniu uwzględniono zasoby rzeczywiste t. j. te, które stwierdzono drogą eksploatacji bądź drogą robót wiertniczych oraz zasoby **prawdopodobne**, określone jedynie na podstawie ogólnych danych geologicznych. Uwzględniono zatem te pokłady, które obecnie odgrywają pewną rolę z punktu widzenia racjonalnej eksploatacji górniczej. Jak jednak wiadomo węgiel występuje także w głębszych pokładach, w związku z czym zasoby zagłębia górnośląskiego są znacznie większe. Ocenia je się na 170 miliardów ton.

Alfred Hornig

Dookoła kobiety

Amerykanki w Niemczech

Artykuł zamieszczony poniżej jest przedrukiem ze szwajcarskiego tygodnika „Die Weltwoche", który przyniósł go pod tytułem „Amerykanki w Europie", w rzeczywistości jednak w artykule jest jedynie mowa o Amerykankach przybyłych po wojnie do Niemiec i stąd nasz tytuł.

Artykuł przedrukowujemy dlatego, że w pewnym sensie ma on również posmak polityczny. W Niemczech dokonuje się bowiem nie tylko fraternizacja między żołnierzami amerykańskimi a Niemkami, ale też w wielu wypadkach — jak to zobaczymy niżej — tworzy się przyjaźń pomiędzy Amerykankami a Niemcami. Oczywiście, dzisiejsi Niemcy są dobrzy jak baranki i takie też pojęcie wyrabiają sobie o nich, nie znające ich wcześniej i w innych okolicznościach, Amerykanki.

Setki kobiet ze wszystkich Stanów Ameryki przybyło już za swymi mężami względnie ojcami do Niemiec: farmerki z Vermontu, stenotypistki nowojorskie, eleganckie panie z Kalifornii oraz gospodynie prawie ze wszystkich okolic. Wybrałam spośród nich pięć kobiet które w prostych słowach opowiadają o tym, co je skłoniło do podróży, o wrażeniach wyniesionych z Niemiec i Europy i o tym co odczuwały przy spotkaniu ze swymi mężami po dłuższym okresie rozłąki.

Joacy Breadly przyjechała z Chicago. Pobrała się ze swym Tomem na miesiąc przed jego wstąpieniem do wojska. Zanim wyjechał do Europy, byli razem tylko przez czas jednego week-endu. Sierżant Tom Breadly zajmuje w Niemczech stanowisko wojskowego fotografa, a praca ta bardzo mu odpowiada. Jeżeli zdobędzie się na odwagę pozostania jeszcze na przeciąg sześciu miesięcy we Frankfurcie, może bardzo poprawić swą dalszą karierę po powrocie do Ameryki. Joacy napisała więc do męża: „Kochany Tomie! miej trochę cierpliwości, nie rezygnuj ze swych zamiarów, ja wkrótce będę razem z Tobą. Uważam, że to się opłaci. Mogłabym dalej pracować jako nauczycielka, ale właściwie chodzi tylko o to, żeby być z Tobą; wtedy mogę nawet podłogi szorować."

I Joacy przyjechała rzeczywiście. Mieszka w Niemczech w małym, wygodnym mieszkaniu i uczy się codziennie przed południem. W południe spożywa razem z Tomem obiad w kantynie, bo na gotowanie nie starczy jej czasu, po południu chodzi na spacery, zwiedza muzea, spotyka się z nowymi przyjaciółkami. Dwa razy w tygodniu udziela lekcji młodej niemieckiej nauczycielce, a w zamian za to ta uczy ją języka niemieckiego. „Rozumiemy się doskonale. — oświadczyła — nie należy ona bowiem do nazistek z całą pewnością!"

Mój cokolwiek sceptyczny uśmiech na to oświadczenie zdenerwował Joacy. „Wiem doskonale, że każdy z nich tak o sobie twierdzi — wyjaśniła wobec tego — ale Hilda naprawdę ukrywała u siebie jeńców francuskich, a ojciec jej umarł w obozie koncentracyjnym. Dla mnie jest ona przyjaciółką i zaprosiłam ją już na miesiąc do nas do Chicago."

Mrs. Shella Morse przyjechała do swego męża kapitana Morse z dwiema dziesięcio- i dwunastoletnią córeczkami. „Powiedziano mi — opowiada — że to szaleństwo, ale dzieci już przecież od czterech lat nie widziały ojca, a mnie zależy w równym stopniu jak i jemu na tym, żeby przeżyły swe dzieciństwo razem z nim. Czas ten bardzo nam się dłużył, ale teraz jest już wszystko w porządku. Mamy zachwycający domek w okolicy Heildelbergu. Załatwiam swe zakupy w sklepach zarezerwowanych dla wojska amerykańskiego. Dostajemy pocztę i lekturę z Ameryki, chodzę z dziećmi na spacery, czas mija bardzo szybko. Poza tym mam przecież jeszcze Annę. Jest Niemką; jej syn był żołnierzem i nazistą. Umarł. Anna była przez 25 lat kucharką u zamożnej niemieckiej rodziny. Kiedy pierwszego dnia powiedziałam jej, że będzie miała wszystkie środy i co drugą niedzielę wolne, jak to jest w zwyczaju w Ameryce, rozpłakała się z wdzięczności. Od tego czasu jest nam wzruszająco oddana, a dzieci przepadają za nią. Odstępujemy jej część naszych własnych przydziałów, ażeby się należycie odżywiała, bo jako Niemka otrzymuje bardzo niewiele."

Nora Harrison, jasnowłosa, pociągająca, wypielęgnowana Amerykanka opuściła dom rodzinny, w którym przebywała od czasu, gdy mąż, porucznik Tex Harrison, pożegnał ją, aby pójść na wojnę. W małym miasteczku w Kentucky byli oni najbardziej zakochaną parą, jak to objaśnił pewien stary żołnierz pochodzący z tej samej okolicy, a obecnie pełniący służbę w Niemczech. Oboje są młodzi, przystojni i przedsiębiorczy. Nora jednak bynajmniej nie jest rozpieszczona i wzięła na siebie ofiarę, jaką jest dla niej długotrwały pobyt męża w Europie. Szczerze przyznaje się, że zna się na bardzo niewielu rzeczach, jednakże czas spędzony w Niemczech pragnie wykorzystać na naukę wszystkiego co możliwe. W walizach przywiozła materiały, z których ma zamiar sama coś uszyć. Przywiozła też grubą niemiecką gramatykę, aby wieczory, które Tex spędza w służbie wykorzystać na naukę. Poza tym całą masę zabawek, słyszała bowiem, że dzieci niemieckie nic mają się czym bawić.

Na moją uwagę, że postąpiła wielkodusznie, odpowiedziała: „Muszę powiedzieć, że nie cenię Niemców. Oni są winni śmierci mojego brata i kalectwa wielu przyjaciół. Ich dzieci jednak nie ponoszą za to odpowiedzialności. I kiedy czasem zapraszam kilkoro na zabawę do siebie, czynię to w nadziei, że z czasem pokochają oni Amerykę i Amerykan. Pewnego razu miałam ich aż sześcioro u siebie;kiedy poczęstowałam je pączkami, patrzyły na mnie niedowierzająco..." „Nie wiem, czy Tex jest zawsze z tego zadowolony, ale ja tak lubię chodzić do Klubu Amerykańskiego w Monachium, gdzie można wieczorem potańczyć. Wiem, że robi to dla mnie, ażeby nie różniło się to wszystko tak bardzo od naszego życia w domu. Pozwala mi tańczyć ze swymi przyjaciółmi Bo Tex jest właściwie bardzo poważny. Odkąd jestem w Niemczech, najchętniej spędzałby wieczory na wspólnym czytaniu. Musimy więc czynić wzajemne ustępstwa. Musimy się jeszcze nauczyć niemal wszystkiego tego, co należy do małżeństwa, a nabycie tej wiedzy w tak mało przytulnym otoczeniu i w tak nadzwyczajnych okolicznościach nastręcza sporo trudności. Nie żałuję jednak niczego i jestem bardzo szczęśliwa w Niemczech."

Mary Bolder ma szare, smutne, cokolwiek stroskane oczy. Nie przyjechała ona do Niemiec, ażeby po prostu żyć dalej w szczęściu. Pragnie ocalić swe rozpadające się małżeństwo. Zawsze ta sama historia. Znali się dwa miesiące, poczym stanęła przed nimi rozłąka, a ponieważ sądzili, że się kochają, pobrali się. Listy Johna nadchodziły w coraz większych odstępach czasu i zawierały mało treści. Mary pędziła swe życie, jak poprzednio w dużym biurze nowojorskim. „Proszę zrozumieć — tłumaczyła mi — że znamy się tak mało. Kiedy zobaczy, że zostawiłam wszystko, aby móc się nim zająć tu — ma już przecież dość tych baraków i kwater wojskowych — stanie się może dla mnie przystępniejszy, a ja może potrafię odzyskać mój podziw dla niego, kiedy zobaczę go przy pracy. A może to wszystko jest tylko złudzeniem...? Chcę jednak wypróbować wszystkie środki, zanim złożę broń."

Mrs. Sidney Chase z pękiem białych włosów, dobrotliwym uśmiechem, ślicznymi niebieskiemi oczyma za okularami i dużym zasobem humoru jest niewiarygodnie podobna do matki „Andy Hardy" alias Mickey Rooney.

„Przyjechałam za mężem, majorem — mówi — ponieważ majorowie są najbardziej samotnymi ludźmi na świecie. Gdyby był kapitanem, nie onieśmielałby nikogo. Ale stanowisko majora jest okropne. Czułam po prostu, że muszę pojechać. Nasz dom pozostawiłam synowi, który przed niedługim czasem ożenił się w San Francisco i nie znalazł naturalnie mieszkania. A tutaj urządziłam się bardzo wygodnie. Europa dobrze na mnie wpływa. Sądziłam, że zobaczę zniszczony kontynent, a gdyby nawet znalazło się coś całego — myślałam — to w każdym razie nie będzie mowy o takich błyszczących łazienkach, jak w St. Zjednoczonych. Teraz zaniemówiłam!"

To byłoby wszystko. Co należy jeszcze dodać? Nic, poza tym, że często niesłusznie uważamy te kobiety za powierzchowne, egoistyczne i próżne, — gdy bowiem zajdzie potrzeba, wykazują one wiele serca, odwagi i rozsądku. Przemawia też za nimi fakt, że pozostawiły za sobą wszystko, aby podążyć za swymi mężami do nieprzyjacielskiego, zniszczonego kraju.

Camille Fehlbaum.

Karnawał



Wytworna stylowa suknia wieczorowa z czarnej tafty w srebrne paseczki. Strój dla młodej panny. Model paryski.

Jeszcze niedawno nie pamiętaliśmy, że istnieje. Po prostu w nawałnicy posępnych myśli nie było kiedy wspomnieć ,że ten krótki, zimowy okres, zamknięty między Nowym Rokiem a Popielcem — to beztroski, rozbawiony i roztańczony karnawał.

Czasami tylko mignął nam smugą wspomnień, gdy z kąta szafy błysnęła pastelową barwą tafta krynoliny, a z pudełka, przeznaczonego na wysyłkę paczki więźniarskiej, wyrzucić trzeba było cacka ze złotych pasków na francuskim obcasie. W nikłym zapachu perfum, tlącym się jeszcze w fałdach sukni, przywołanym raczej rozbudzoną fantazją, odżywać poczynały naraz wspomnienia. Melodia walca, posadzka balowej sali, taniec w kręgu najmilszych ramion i słowa, szeptane w pukle włosów. Wszystko razem dalekie i tak nierealne. Było tak kiedyś naprawdę i może jeszcze być?



Zawsze modna stylowa suknia z tiulu, łączonego z taftą. Model paryski dla młodej panny

Pierwszy, tak długo oczekiwany karnawał skromny był, cichutki, zażenowany. Sportowe sukienki, nieoczekiwane kombinacje dwóch czy trzech przedwojennych starych szmatek, skazanych dawno na bezapelacyjną zagładę, no i do tego przydziałowe „jodełki" naszych panów, szczęśliwie obdarzonych przez dobroczynną UNRRĘ. Ślub w kostiumie też z przydziałowej jodełki, rozjaśnionej pożyczoną bluzką i malutką wiązanką kwiatów. Taftowa krynolina z szafy, dawno już przefarbowana na praktyczny granat i czerń, już znoszona i popękana i tak — gdyby była — nie przydałaby się na nic. Na tle sportowych sukienek, jodełki i partyzanckich, wysokich butów, byłaby czymś nie tylko rażącym, ale i śmiesznym. Rekwizyt teatralny, nadający się tylko do lamusa wspomnień. Karnawał z całym bogactwem pojęć, nierozłącznie z nim związanych, wydawał się takim samym przeżytkiem, jak tyle innych, przebrzmiałych wartości.

Na przekór jednak wszystkim przewidywaniom, kiedy przyszedł po raz drugi, zaskoczył pesymistów swym wyglądem. Nie jest jeszcze tak strojny jak za granicą, ale już, już szeleści jedwabiem i rozbłyskuje gamą jasnych barw. Na wystawach magazynów zjawiać się poczynają pierwsze, na razie pojedyńcze, wieczorowe kreacje, a ciężkie lamy (przedwojenny kuponik!) ciągną ku sobie, jak magnes, łakome oczy kobiet. Panowie popielato-brązowe jodełki i sportowe koszule zmieniają też powoli na wizytowe garnitury i sztywne kołnierzyki. A przed domami, gdzie mieszczą się zakłady fotograficzne, coraz częściej stają karety i auta. W niepokalaną biel i mgły welonów otulone panny młode, w obiektywie aparatu upamiętniają ten jedyny w życiu moment.



Wytworna ślubna toaleta — temat cichych i głośnych pragnień wszystkich chyba młodych dziewcząt. — Model amerykański

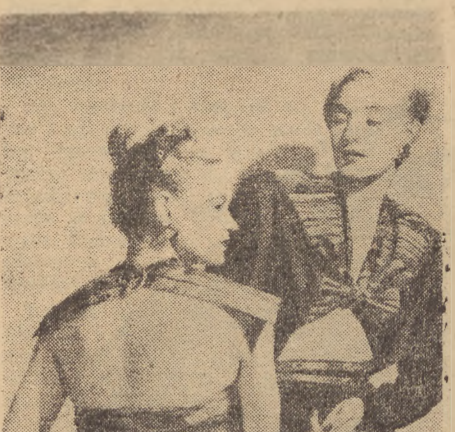


Suknia wieczorowa, t. zw. wielka toaleta z czarnego, błyszczącego atłasu, odsłaniająca całkowicie plecy, podtrzymana naszyjnikiem ze sztucznych brylantów. Model paryski

Jak się ubrać w tym karnawale, by zasłużyć na miano eleganckiej kobiety i nie przewrócić swego domowego budżetu? — W dalszym ciągu tak, by nie odskakiwać jaskrawą plamą od środowiska, w którym będziemy przebywać. Zawsze dobrze wygląda czarna, długa spódniczka z błyszczącego jedwabiu i strojna bluzka kasakowa, suknia z koronki, jedwabny, wieczorowy kostium — smoking. Poparte odpowiednio dobranymi drobiazgami: kwiatem, torebką, spięciem czy paskiem dadzą pewność, że strój jest elegancki i że można go będzie nosić na szereg jeszcze odpowiednich okazji i w następnym karnawale.



Równie piękna kreacja wieczorowa z zielonej tafty w kratę. Drapowanie w kształcie modnej tiurniury. — Model paryski



Dwa modele wieczorowych sukien — przedstawiających ostatni krzyk mody — odsłonięte partie ciała. Modele amerykańskie

Nie bylibyśmy jednak kobietami, gdyby nie interesował nas karnawał... we francuskich żurnalach.

Jest na co popatrzeć. Fantazja mistrzów paryskich, krępowana latami wojny, onieśmielona pierwszym okresem powojennym, zaczyna znów z umundurowanej pracownicy robić uroczego wampa, kuszącego wszystkimi powabami, godnymi pokazania. Kobiecość, kobiecość i jeszcze raz kobiecość — to podstawowy kanon zagranicznej, karnawałowej mody. Miękkie, opływowe linie, uwydatniające piękno kształtów. Drapowania, przypominające mocno tak śmieszące nas „tiurniury" babek, fantazyjne spięcia w rodzaj kokard, związanych z boku, podkreślających krągłą linię bioder. Wąska spódniczka, zmieniająca wygodny, sportowy krok, na wężowy ruch łasicy. Gołe plecy i suknie, całkowicie odsłaniające ramiona. Nawet na obrazku trzyma się taka kreacja na biuście na „słowo honoru" i w sumie świadczy raczej o ekstrawagancji niż o prawdziwym pięknie i harmonii stroju. I wreszcie ostatni krzyk mody — suknie wieczorowe, odsłaniające partie ciała w miejscach najbardziej nieoczekiwanych. Spódnica od pasa i bluzka, kończąca się tuż pod biustem. Między dwiema częściami tej toalety gołe ciało. Fantastyczne wycięcia gdzieś w okolicy żołądka. Pomysły bardziej ekscentryczne niż piękne, dobre do kabaretu, i w sumie pozbawione prawdziwego poczucia smaku i piękna.

Szereg zagranicznych kreacji wieczorowych, powiedzą lepiej i dokładniej, niż słowa: co noszą, lub co dyktatorzy mody chcieliby, by nosiły kobiety w karnawale.

h. mark.



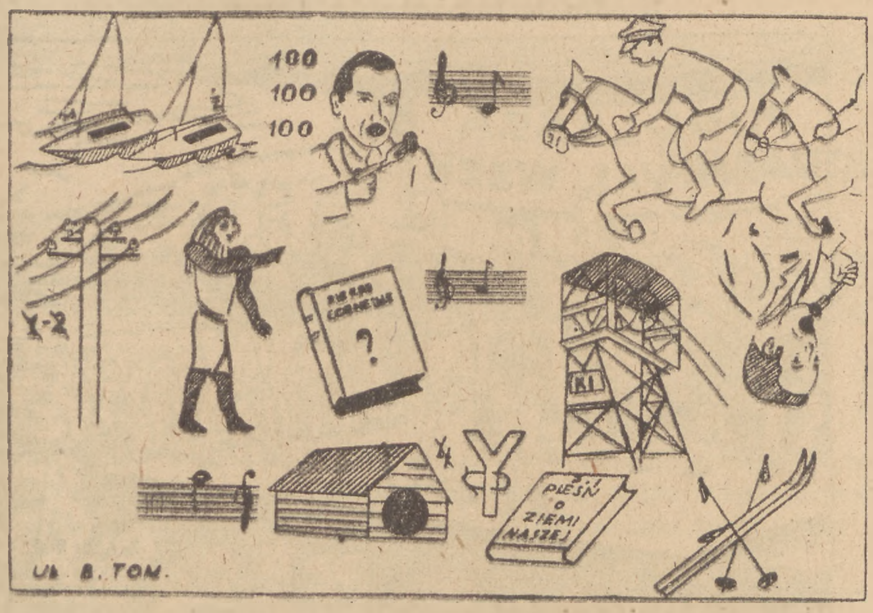
Skromna suknia wieczorowa. Spódnica z ciemno-niebieskiego jedwabiu, bluzka w barwne kwiaty, bolerko czerwone. Doskonała okazja do wyzyskania starych sukienek. Model angielski



Jeszcze jeden „krzyk mody". Prosta suknia z czarnego atłasu. Między spódnica a bluzką pas gołego ciała. Model amerykański

Rozrywki umysłowe

1. REBUS
(uł. B. Tom)



2. KRZYŻÓWKA SZKIELETOWA

Sposób rozwiązywania Krzyżówki Szkieletowej.

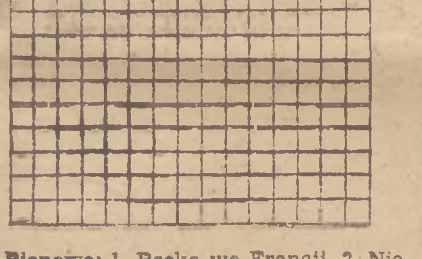
Krzyżówkę rozwiązuje się w ten sam sposób, jak i inne, z tą różnicą, że czarne pola mają być również wypełnione przez rozwiązującego na równi ze słowami:

Po odgadnięciu i wpisaniu słowa należy umieścić za nim czarne pole (a czasem przed nim), oraz odpowiednie czarne pole w innych częściach krzyżówki, tak, by otrzymać rysunek ściśle symetryczny względem obu osi i środka symetrii.

Wynika z tego, że po ustaleniu miejsca jednego czarnego pola wrysować można odrazu trzy jego odpowiedniki. Jedynie na liniach środkowych dorysować można tylko jedno pole czarne.

W Krzyżówkach tego typu nie używa się w ogóle słów dwuliterowych.

Dokładne przestudiowanie numeracji słów pionowych i poziomych wielce pomaga do ustalenia miejsc czarnych pól. —



Pionowo: 1. Rzeka we Francji, 2. Niedobry, 3. Fizyk francuski, 4. Górzysty kraj w północno-zachodniej Grecji, 5. Port w Bułgarii słynny z bitwy w 1444 roku, 6. Albo, 7. Rzeka wypływająca z Tyrolu i wpadająca do Adriatyku razem z Po, 10. Towarzystwo dla handlu z zagranicą, w Związku Sowieckim, 12. Przodek, 14. Opera Delibes'a (wspak), 15. Budynek gospodarczy dla krów, 18. Stolica Chin, 19. Połączenie wodne dwóch rzek, 21. Piękno, 22 Arbuz, 24. Masz na głowie, 26. Litera grecka, 28. Rodzaj głosu.

Poziomo: 1. Mieszkanie małży, 5. Kuferek ręczny, 8. Moneta indyjska, 9. wprawa biegłość, 11. wyłogi uniformu, 13. Margrabia niemiecki, urządzający najazdy na Polskę w X wieku, 16. Uczony rolnik, 17. Wstążka orderowa, noszona zamiast orderu, 18. Gdzie można najtaniej dostać miód? 20. Pieniądze zawinięte w wałeczek (zdrob.), 23. Księstwo indyjskie pod zwierzchnictwem Radżputany, 25. Swawolny taniec francuski, 27. Miasto w woj. kieleckim, 29. Współbrzmienie 30. Wyroby mlec ne, 31. Mitologiczny myśliwiec, który podpatrzył kąpiącą się boginię Artemidę, za co, zamieniony w jelenia, rozszarpany został przez własne psy.

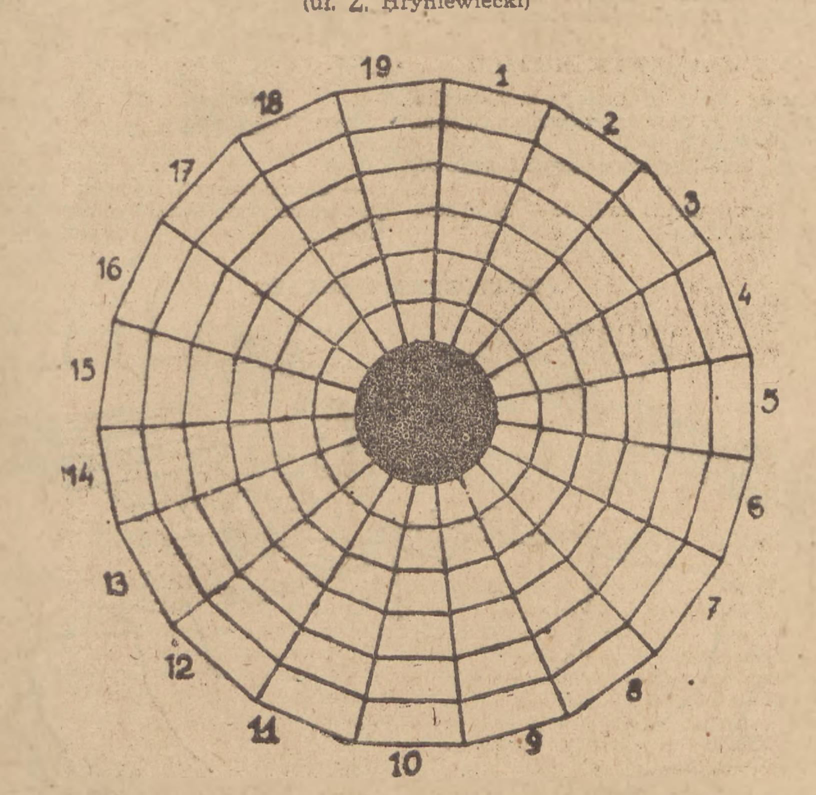
3. LOGOGRYF SYLABOWY
(uł. St. Migoń)

Z podanych poniżej sylab ułożyć 25 wyrazów o podanym znaczeniu. Początkowe i końcowe litery tych wyrazów, czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie.

Sylaby: a, ba, bo, bant, bir, ble, ce, ce, cy, czu, che, cki, czew, choj, da, dzi, e, ę, em, gi, ge, go, got, gia, gna, ha, i, i, i, i, in, jazd, ka, ki, ko, ko, ku, keż, klen, lo, ma, ma, ma, ma, ni, ni, no, ny, nez, rek, ro, ro, ro, rus, su, sze, so, sub, ski, struś, szyn, świer, ty, tel, u, usz, ya, yo, wa, wia, wie, wac, wski, za, zło, żec.

Znaczenie wyrazów: 1. biedny, niezamożny, 2. plemię turecko-tatarskie nad środkową Wołgą, 3. zakątek, ustronne miejsce, 4. juczne woły tybetańskie, 5. zabytek historyczny w Krakowie, 6. przydrożna karczma, 7. grzeczny, delikatny, 8. badać, pytać (ć=c), 9. legendarny król Aten (e=ę), 10. imię męskie, 11. próżniak, hulaka, 12. nauka o powietrzu, 13. doświadczony, stary żołnierz, 14. powieściopisarz hiszpański, autor „4 jeźdźców Apokalipsy", 15. ptak żyjący w Afryce, 16. miasteczko niedaleko Sieradza, 17. znany felietonista warszawski, 18 miasto portowe w Japonii, 19. głos pospolitego u nas ptaka, 20. współczesny pisarz polski, 21. członek pewnego plemienia Indian (z=ż), 22. symbole, znaki cechowe, 23. zwierzę egzotyczne, 24. lotnik polski, który wraz z Kubalą inicjował lot przez Atlantyk, 25. miasto na Pomorzu.

4. ŁAMIGŁÓWKA — PAJĘCZYNKA
(uł. Z. Hryniewiecki)



W powyższą figurę wpisać 19 wyrazów sześcioliterowych o podanym poniżej znaczeniu. Pierwsze ich litery czytane na obwodzie w kierunku ruchu strzałki zegarowej dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Ewolucja, 2. część instalacji radiowej, 3. owoc południowy, 4. drwiny, przekąs, 5. taniec ludowy, 6. woźnica, 7. ceremonia, zwyczaj, uroczystość, 8. chmury deszczowe, 9. natręt, osoba niepożądana, 10. przełęcz w Tatrach, 11. łobuz, ulicznik, 12. warzywo, 13. rasa psa, 14. okres w roku kościelnym, 15. faza księżyca, 16. pojazd na dwóch kołach, 17. wzgórza we Francji, 18. sfermentowany napój z mleka, 19. Muza astronomii.

5. ILE MA LAT MARYSIA?

W zeszłym roku na Boże Narodzenie podzieliłem 360 zł między trójkę moich dzieci, proporcjonalnie do ich wieku. W tym roku zrobiłem to samo. W zeszłym roku Marysia otrzymała 72 zł. W tym roku otrzymała 80 zł.

Ile lat miała Marysia na zeszłe Boże Narodzenie?

* * *

Za rozwiązanie powyższych zadań, nadesłane do dnia 25 stycznia 1947 r. Redakcja przeznacza do rozlosowania trzy nagrody książkowe.

ZADANIE POZAKONKURSOWE
(nadesłał mgr. Zięba)

PROTAGORAS I JEGO UCZEŃ

Współczesny Sokratesowi filozof grecki Protagoras był nauczycielem wymowy. Uczniowie jego po skończonej nauce występowali najpierw jako obrońcy sądowi, by potem, zyskawszy popularność, sięgać po stanowiska publiczne. Z jednym ze swoich wychowanków zawarł Protagoras następującą umowę: Uczeń zapłacił mu połowę należności za naukę z góry, zaś drugą miał zapłacić tylko w wypadku wygrania swego pierwszego procesu. Nauka się skończyła, uczeń powrócił do domu i nie zamyślał wcale występować na procesach. Protagoras potrzebujący pieniędzy, jako że w owych nie zmonopolizowanych czasach wino było drogie, bolał nad tym wielce. Lecz, że był chytry, jak każdy Grek, tedy umyślił zaskarżyć swego ucznia do sądu.

Idąc na rozprawę cieszył się wielce, jakby pieniądze już miał w kieszeni, bo rozumował tak: „Albo wygram ten proces i otrzymam pieniądze, albo też proces przegram, ale wówczas wygra go mój uczeń, a że to jest jego pierwszy proces, więc będzie mi zobowiązany w myśl umowy dopłacić resztę".

Uczeń zaś filozofa szedł na rozprawę z błogim spokojem w duszy, bowiem myślał tak „Albo ją ten proces wygram, to sąd mi przyzna, że nie muszę nic płacić. Gdybym go jednak przegrał, to w myśl umowy nie będę musiał płacić, jako, że jest to mój pierwszy proces".

Wielka mistrzyni życia — historia — nie podaje jak sąd grecki rozstrzygnął zawiłą sprawę.

Prosimy o dyskusję.

Rozwiązanie zadań z nr 33

1. Akrostych literacki. A. Mickiewicz, „Dziady".

Ja kocham cały naród! Objąłem
w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego
pokolenia...
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić! —

2. Krzyżówka szkieletowa.

F	A	S	O	L	A	■	A	■	H	A	M	S	U	N
A	■	A	■	■	R	E	N	T	A	■	■	Z	■	I
R	E	N	O	M	A	■	E	■	R	E	N	O	N	S
S	■	N	■	■	R	A	L	I	F	■	■	R	■	Z
A	R	A	B	E	S	K	■	M	A	K	S	Y	M	A
■	■	■	A	■	■	T	■	P	■	■	E	■	■	■
F	L	O	R	E	S	Y	■	E	K	S	P	E	N	S
A	■	R	■	■	K	W	I	T	A	■	■	K	■	E
G	A	D	U	Ł	A	■	K	■	R	O	B	R	O	N
O	■	O	■	■	W	C	A	L	E	■	■	A	■	B
T	U	N	D	R	A	■	R	■	S	K	U	N	K	S

3. Remont świąteczny: Wesołych Świąt i przyjemnego rozwiązywania zagadek życzymy wszystkim kochanym czytelnikom.

4. Rebus. Węgiel z kopalń śląskich jest naszym bogactwem

5. Zadanie matematyczne. 1) Pan A. ma 10003 zł pan B. — 103 zł pan C — 1003 zł.

2) Pan A ma 18 lat, pan B. — 36, pan C. 46. —

* * *

Przepraszamy wszystkich Czytelników za niewyraźny druk akrostychu literackiego. Na przyszłość dołożymy wszelkich starań, by strona graficzna zagadek stała na odpowiednim poziomie.

DOBRE ROZWIĄZANIE Z NR 33

w terminie nadesłali:

Bielsko: A. Wojtylak, J. Moskała, L. Siemieński, A. Pręczkowska, D. Niemcowa, **Bytom:** J. Jaźwiński, **Częstochowa:** Z. Przesłański, **Gliwice:** „KAL", K. Wieczorek, W. Udziela, O. Madurowicz, **Jarosław,** B. Nowosad, **Katowice:** Z. Czaplicki, W. Raciborska, H. Nowakowska, M. Kopeć, A. Rafińska, **Kraków:** S. Lorenc, A. Mięsowicz, J. Nawroczyński, Z. Kapa, **Miechowice:** M. Markowski, **Piotrowice:** B. Presslerowa, **Sosnowiec:** J. Matyja, J. Misiewicz, **Strzelce:** E. Jaszczyszyn, **Świdnica:** E. Parnicka, **Świętochłowice:** T. Kubiczek, **Tarnowskie Góry:** J. Garus, **Trawniki:** M. Razik, **Wałbrzych:** S. Chlebiński, J. Kozakiewicz, **Wrocław:** R. Leszczyński.

W wyniku losowania nagrody otrzymali: 1. Z. Czaplicki — „Nowa Miłość" Iwaszkiewicza. 2. W. Udziela — „Medalion" Nałkowskiej. 3. M. Markowski — „Dziękuję ci kapitanie" Fiedlera.

Nagrody wysyłamy pocztą.

Odpowiedzi redakcji

A. Rafińska. Prosimy próbować dalej. Dyktando prasowe nie pójdzie. **J. Garus.** Bardzo prosimy. **B. Tom.** Niepokoi nas pańskie milczenie. **H. Hryniewiecki.** Może Pan rysować jak się uda. Przerobimy. Najlepsze hasła są okolicznościowe. **E. Drwięga i R. Kula.** Zamieszczamy nazwiska i dopuszczamy do losowania tylko tych Czytelników, którzy nadesłali rozwiązania wszystkich zagadek.

Wszystkim Czytelnikom, którzy nadesłali Redakcji życzenia świąteczne i noworoczne bardzo dziękujemy i nawzajem życzymy wszystkiego najlepszego, oraz „wychodzenia" wszystkich zagadek.

Czytelnicy piszą...

16. W związku z rozważaniem nad największą liczbą napisaną za pomocą trzech cyfr, stwierdzam, iż w systemie dziesiętnym jest nią $9!^{9!^{9!}}$

Ponieważ w poprzednich rozważaniach nie było wzmianki o systemie liczbowym w którym należy tę liczbę napisać, zatem wybierając dowolny system liczbowy, możemy w powyżej wymieniony sposób, dowolnie wielką liczbę napisać. I tak gdy w systemie jedenastkowym (w którym wartościom 0 1 2 3 4 5 6 7 8 9 A 10 odpowiadają wartości 0 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 w systemie dziesiętnym) napiszemy $A^{A^{A}}$ to liczba ta będzie liczbą $10^{10^{10}}$ w systemie dziesiętnym. Taka liczba jak $A!^{A!^{A!}}$ jest większą od $A^{A^{A}}$ gdyż wynosi ona w systemie dziesiętnym $3628800^{3628800^{3628800}}$

Z powyższego wynika, iż gdy dobierzemy odpowiednio wielki system liczbowy, to możemy odpowiednio wielką liczbę napisać.

Np. gdy w systemie piętnastkowym (w którym 1 2 3 4 5 6 7 8 9 A B C D E 10 odpowiada 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 w systemie X) napiszemy $E!^{E!^{E!}}$ to liczba ta będzie jeszcze większa od poprzedniej napisanej w systemie jedenastkowym, gdyż wyniesie ona $87178291200^{87178291200^{87178291200}}$

W systemie piętnastkowym, cyframi (!) są: 1 2 3 . . . . . . 9 A B C D E, odpowiadają one 1 2 3 . . . . . 9 10 11 12 13 14, w systemie X.

Liczbami (!) zaś:
10 11 12 . . . . . 19 1A 1B . . . . . 2A 2B itd., które odpowiadają
15 16 17 . . . . 24 25 26 . . . . 40 41 w dyskusji X.

Zatem E jest cyfrą (!) w systemie XV pomimo, że w systemie X odpowiada E liczbie 14. Przy liczbie $E!^{E!^{E!}}$ (syst. XV) możemy uwzględnić wszelkie kombinacje z siliniami, np.

$$\left(E!\ldots^{\left(E!\ldots^{E!\ldots}\right)!\ldots}\right)!\ldots$$

Paszek Zygmunt
uczeń Państw. Szkoły Przymysł.
w Bielsku

Pozatym otrzymaliśmy wiele listów których jednak nie drukujemy, z tego względu, że nic nowego do dyskusji nie wnoszą.

Przeczytajcie dzieciom...

JANINA WACLOWA

Przygoda żabki

Pewna żabka, żabka mała pod opieką mamy —
żyła sobie w cichym stawie tak jak wszystkie żaby
Lecz bez przerwy kaprysiła z minką nadąsaną:
„Co mi też to jest za życie, wciąż z mamą i z mamą!
Ciągle tylko trzeba słuchać: „nie odchodź daleko,
nie oddalaj się od stawu", dość już mam wszystkiego!
Jakże tu okropnie nudno, jak smutno w tym stawie!
Wszystko już tak dobrze znane i tak nieciekawe..."
Narzekała żabka mała, aż postanowiła:
wyszła z domu pokryjomu, stawek opuściła!
Przez kwiecistą, barwną łąkę rozległą, szeroką,
żabka ciesząc się wolnością, ruszyła w podskokach!
Wszystko było dla niej nowe, każda trawka, każdy kwiat,
nie wiedziała do tej pory, że tak piękny jest ten świat...
Nagle — co to? Kto to taki? Długie nogi, długi dziób,
przez moczary wprost do żabki idzie, idzie bocian — wróg!
Hej, porwała się żabeńka i nogi za pas!
Nieprzytomna, pełna lęku, pogoniła w las!
Przesiedziała do wieczora ukryta w paprociach,
aż się wietrzyk ulitował i rzekł: „Śpi już bocian..."
„Śpi pan bocian?! Doskonale, nic mi już nie grozi!"
Żabka prędko chce wyjść z lasu, lecz .. jakoś nie może!
Skacze w lewo, w prawo skacze, już ją bolą nożki...
Tu jest drzewo, tutaj krzaczek, ale nigdzie . . dróżki!
A tymczasem coraz ciemniej, zgasły jasne zorze,
jakoś dziwnie, jakoś strasznie w gęstym, ciemnym borze...
A gdy pierwsza złota gwiazdka ponad lasem błysła
żabka nawet nie wiedziała, z której strony przyszła.
Szuka drogi ledwie żywa, lecz na próżno: zabłądziła!
Zrozpaczona, przerażona, boi się iść w nocy borem,
więc przysiadła na dwóch łapkach pod najbliższym muchomorem.
Coraz straszniej, coraz straszniej, dookoła ciemna noc...
Biedna żabka drżąc ze strachu, rozpłakała się na głos:
„Jak nie bocian, to ciemności! Wszędzie strachy, gdzie się ruszyć!
Nie wiem nawet co jest gorsze! Już tych przygód mam po uszy!
Gdzie jest mama, moja mama, gdzie jest stawek mój kochany?!
Ja się boję w nocy sama, chcę do domu, chcę do mamy!"
Właśnie w muchomorze spał smacznie krasnalek.
Zbudzony hałasem, usłyszał te żale.
Skrzyp-skrzyp, otworzył maleńkie okienko:
„Nie płacz już, nie płacz zielona żabeńko!"
Okrył się kurteczką i wybiegł z domeczku,
potem wziął za łapkę zapłakaną żabkę...
Krasnal dobre miał serduszko, żal mu było żabki,
więc zbłąkaną odprowadził do stawu, do matki.
A przed nimi szumnie, tłumnie leciały świetliki,
rozsiewając wśród ciemności zielone ogniki...
Teraz żabka nie ucieka nigdy pokryjomu,
słucha mamy i powtarza, że najlepiej — w domu.

JANINA WAZLOWA

Zły czarodziej

Chodzi chodzi
mróz - czarodziej
różnymi drogami —
okna chaty
zdobi w kwiaty
lśniące brylantami...

Chodzi chodzi
mróz-czarodziej,
przystanął na brzegu —
okrył lodem
srebrne wody,
zatrzymał je w biegu...

Nikt nie witał go z uciechą
wtargnął nie proszony —
wszystko zmroził swym oddechem
i przysypał szronem.

Nikt nie prosił czarodzieja
by wchodził do chaty
i czarował na okienkach —
swe lodowe kwiaty...

Płacze rzeka uwięziona,
skarżą się zwierzęta
i ptaszyny wygłodzone
i ziemia zmarznięta...

Mróz-czarodziej nic im nie da
Prócz zimna i głodu,
żadna go nie wzruszy bieda,
bo ma serce z lodu...

Toteż wszyscy — z ludźmi razem
wyczekują co dzień —
żeby wreszcie moc utracił
ten zły mróz-czarodziej...

WŁADYSŁAWA PASZKOWSKA

Pani myszka

Cichuteńko — tylko myszka
w norce zachroboce...
pewno dzieci się odkryły...
takie zimne noce!

O, wybiegła na dywanik!
Jeszcze nie śpią dzieci? —
Zima, mruczy, proszę pani,
śnieżek z nieba leci...

Nie uciekaj! Da ci Ania
słodkie okruszynki
dla twych dzieci: Mysi, Myszka
i małej Drobinki.

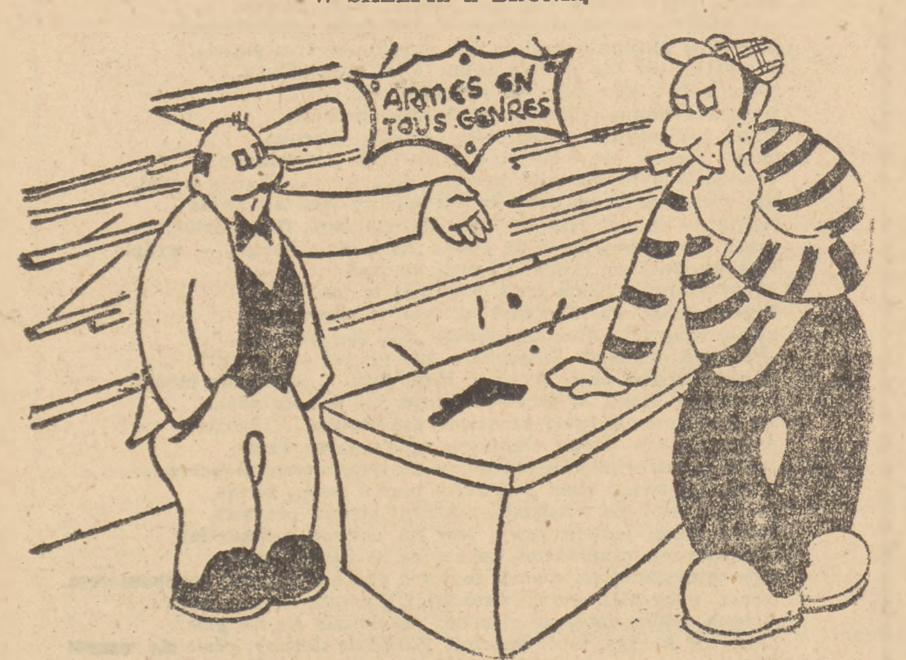
Wczoraj u mnie był Aniołek
co ma skrzydła białe,
przyniósł Ani dobrych rzeczy
wielkie pudło całe.

...Ale podziel sprawiedliwie
Każdemu troszeczkę,
...i ucałuj mocno, w buzię
małą Drobineczkę!

Powiesz jak im smakowały
orzeszki z piernika?
— w przedpokoju mruczy Kicia:
niechaj pani zmyka!

Świat się śmieje

W SKLEPIE Z BRONIĄ



— Nie ma pan jakiegoś większego kalibru? Tu chodzi o zrobienie komuś dobrego kawału... („La France“)

NIEDŹWIEDZIA PRZYSŁUGA

Czterej dobrze zawiani panowie zjawiają się na stacji, kiedy pociąg właśnie rusza. Podnoszą straszny zgiełk, wobec czego zawiadowca energicznym ruchem wrzuca jednego po drugim w ostatnie otwarte drzwi. Udało mu się w ten sposób załadować trzech, ale pociąg szedł już tak szybko, że czwarty pijak został. Jak został — tak usiadł i płacze.

— Czego pan płacze? — pyta zawiadowca.

— Abo... hyk! to ja miałem wyjechać... hyk! a oni mnie tylko odprowadzali.

MIESZKANIE DO WYNAJĘCIA

— Tu mieszkał pewien chemik, który trudnił się wyrobem materiałów wybuchowych.

— A obecnie gdzie on jest?

— Widzi pan tę plamę na suficie?

— Widzę.

— To właśnie on.

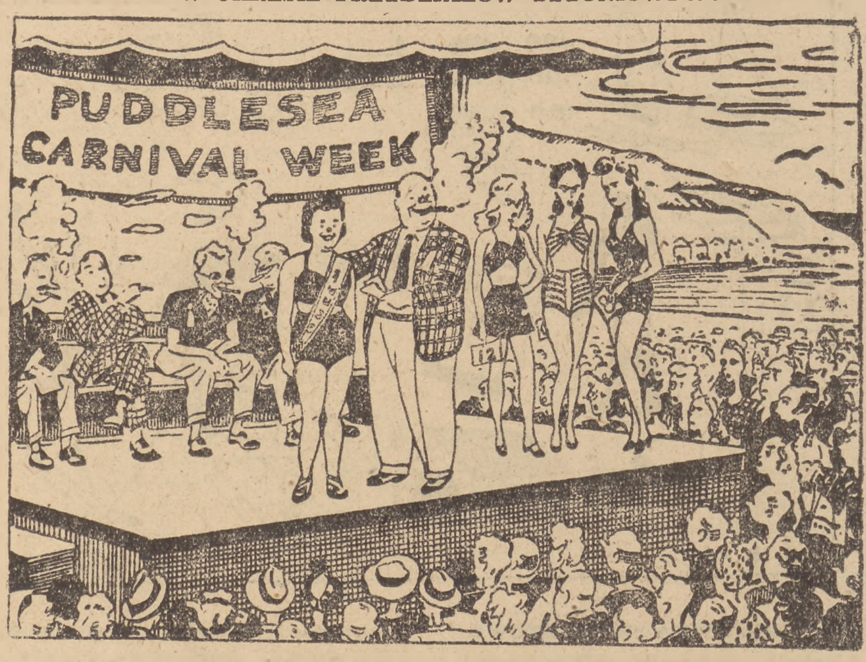
NASZE DZIATKI

Mama do 8-letniego Jasia:

— Więc zjadłeś to ciastko przed obiadem, chociaż ci mówiłam, żebyś nie jadł!?

— Ale tatuś mówił, że gdy kobieta mówi „nie“, to myśli „tak!“

W OKRESIE PRZYDZIAŁÓW TYTONIOWYCH



— Jury po głębszym namyśle doszło do przekonania, że królową piękności na naszej plaży zostaje miss Gibson, ekspedientka w hurtowni tytoniowej... („Daily Express“)

WŚRÓD CENTAURÓW



— Boże, jaki on jest nowoczesny! („Combat“)

NIEDALEKO...

W Warszawie Alejemi Jerozolimskimi w stronę Wisły zatacza się dobrze „zamoczony“ gość. Milicjant, zdążający w tymże kierunku do domu postanawia go odprowadzić:

— Panie! Gdzie pan mieszka?

— Niedaleko... hyk! Prosto i... hyk! na prawo!

Kiedy tak doszli do ronda Waszyngtona milicjant pyta po raz drugi.

— Gdzie pan mieszka?

— Niedaleko... hyk! Prosto... hyk! i na prawo!

Na ulicy Grochowskiej milicjant zniecierpliwił się:

— Gdzież pan, u diabła, mieszka?

— W Lublinie!

PSIE KŁOPOTY



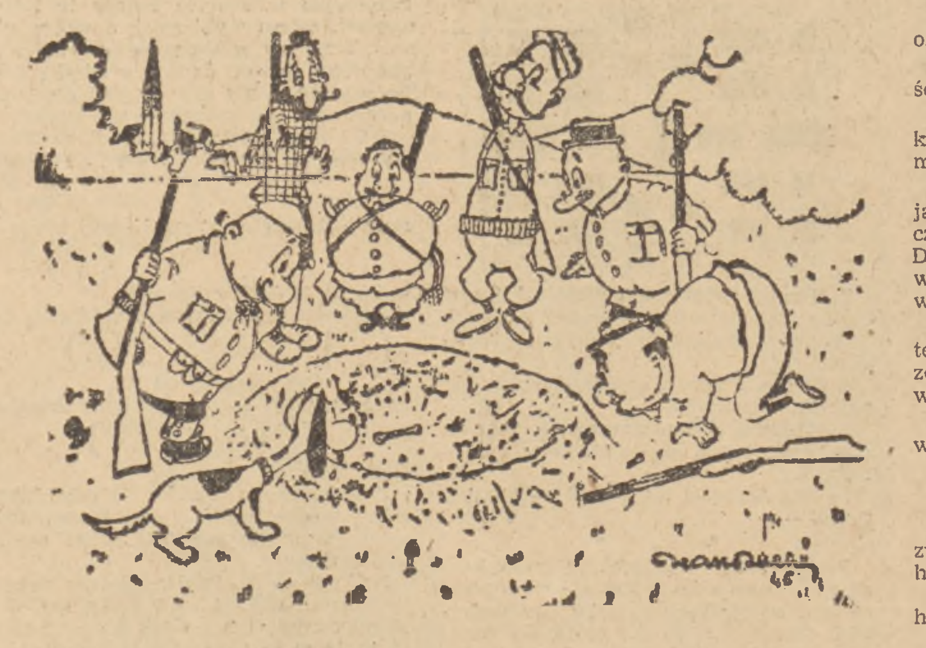
— No popatrzcie, znowu on mi się zgubił...! („Carrefour“)

WŚRÓD ROZBITKÓW



— Nie krzycz tak głośno! Przecież obiecaliśmy ci, że dostaniesz też kawałek... („Ici Paris“)

POLOWANIE Z KOCIOŁKIEM



— Oto są skutki, gdy wszyscy strzelają do jednego zająca. („La France“)

CO TO JEST

Od roku jestem sprawozdawcą sądowym, nie licząc tych kilku lat przedwojennych, kiedym właściwie nic innego nie robił, tylko wysłuchiwał różnych „pyskówek“, ale pierwszy raz mi się zdarzyło, że wyszedłem z sądu kompletnie nie uświadomiony.

Jak tabaka w rogu...

Albo jak ta przysłowiowa „ciemna masa w szarym worku z zapadłej prowincji przywieziona“...

Słowem — ani w ząb!

Stanęło sobie przed sądem dwóch obywateli — jeden drugiego oskarżył o zniewagę. Oczywiście o zniewagę słowną, bez rękoczynów. Zniewagę niczym nie popartą.

— On mnie, proszę najwyższego pana sędziego nazwał „purkrabek“!

Sędzia długo się zastanawiał, bo choć był człowiekiem doświadczonym (przed wojną służył w wojsku, a w czasie wojny w partyzantce) — nie dopatrzył się jednak w tym słowie obrazy i sprawę umorzył.

— Może sobie sędzia być człowiekiem bez żadnego wykształcenia — pomyślałem — ale ja nie mogę w nieświadomości zejść do grobu, bom na to za stary.

Zwracam się więc do obrażonego oskarżyciela i pytam delikatnie:

— Przepraszam pana, co to jest właściwie ten purkrabek?

— Nie wiem, ale... to musi być jakieś okropne świństwo, jeżeli on to na mnie powiedział!

Hm! zapewne! Ale to jeszcze nie wyjaśnia istoty rzeczy, to nic nie mówi czym jest właściwie ów „purkrabek“. Doganiam więc drugiego pana, przedstawiam się, że z prasy jestem i chciałbym wiedzieć, co to znaczy „purkrabek“.

— Purkrabek? A to właśnie taki jak ten Kolińszczak! Taki zgręzły, taki... zduczniały, taki opeziały, jak on! To jest właśnie taki purkrabek!

Mimo tak obszernego objaśnienia — wyszedłem ze sądu nieuświadomiony...

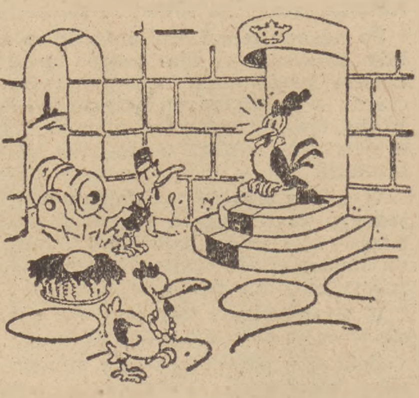
NA WŁAŚCIWYM MIEJSCU

Starsza pani z małego miasteczka zwraca się do portiera w wielkim domu handlowym:

— A gdzie tu można dostać flanelową halkę?

— Trzecie piętro na lewo — dział starożytności...

SYN CZY CÓRKA?



— Przepraszam Waszej Wysokości ale czy mam oddać dwadzieścia jeden, czy też sto strzałów...? („La France“)

CO DZIADZIO WOLI...

Ponieważ w Mesynie są dość częste trzęsienia ziemi, pewni zamożni ludzie w trosce o swe dzieci wysłali je do dziadka — do Mediolanu. W kilka dni później dostają od niego depeszę:

„Zabierzcie dzieci z powrotem, a przyślijcie mi lepiej to trzęsienie ziemi!“

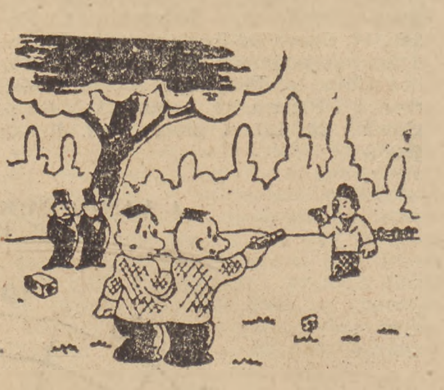
FORTEPIAN

— Szanowny pan przypomina sobie zapewne, że moja córka brała u pana lekcje gry na fortepianie, za które płaciłem po dwieście złotych godzina?

— Owszem, przypominam sobie...

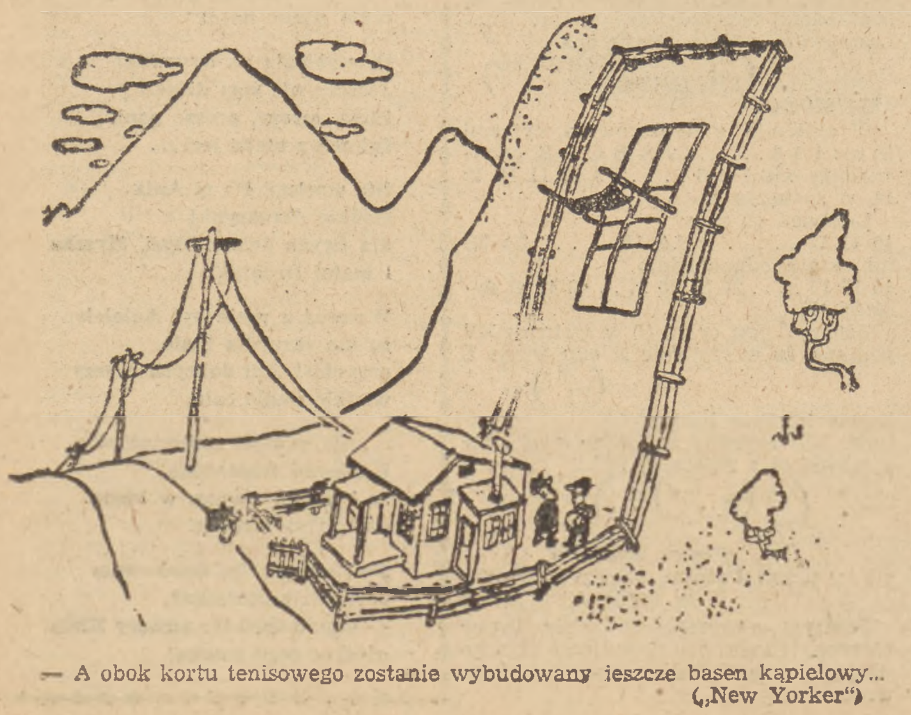
— A ile by to kosztowało, żeby ją tego oduczyć?

TEŻ RACJA



— Są momenty w życiu, kiedy to nie jest wcale przyjemnie być bratem sjamskim... („Ici Paris“)

FANTAZJA



— A obok kortu tenisowego zostanie wybudowany jeszcze basen kąpielowy... („New Yorker“)

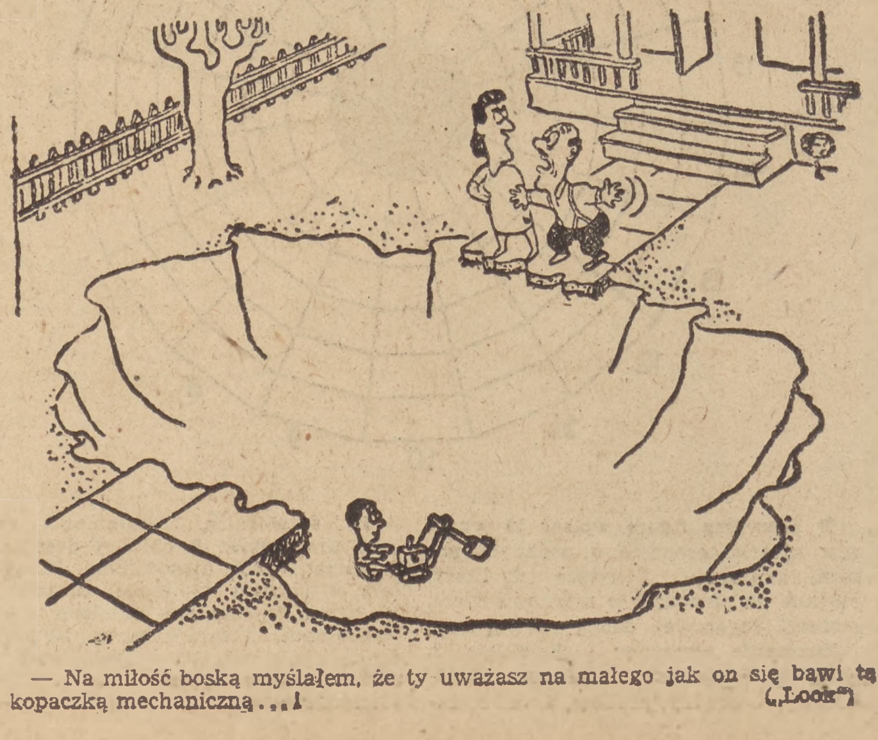
U ZEGARMISTRZA WIEJSKIEGO



— Jak to, nie przynieśliście mi zegara?

— Kiedy zegar chodzi zupełnie dobrze, tylko to cholerne wahadło nie chce się zupełnie ruszać... („Paysage“)

PRZYCZYNA I SKUTEK



— Na miłość boską myślałem, że ty uważasz na małego jak on się bawi tą kopaczką mechaniczną...! („Look“)